

# MIŁOSZ’51 — RAZ JESZCZE. STUDIUM O POŻYTKU Z CZYTANIA ŹRÓDEŁ

Mirosław A. SUPRUNIUK (Toruń)

W opublikowanej z okazji „roku Miłosza”, obszernej, napisanej z akrybią, biografii poety, Andrzej Franaszek, w rozdziale *Historia pewnego samobójstwa*, poświęcił tzw. sprawie Miłosza aż 12 stron, skupiając się na zreferowaniu ustaleń i opinii<sup>1</sup>. Wydaje się to zrozumiałe, ponieważ, podobnie jak wielka liczba krajowych i międzynarodowych wydarzeń kulturalnych i naukowych poświęconych biografii i twórczości Czesława Miłosza, w stulecie jego urodzin, wspomniana biografia podejmuje tematy drażliwe i kontrowersyjne, których w życiu autora *Zniewolonego umysłu* nie było mało. Znając wielkie zaangażowanie A. Franaszka w gromadzenie materiałów źródłowych, trudno zrozumieć, dlaczego nie zadał sobie trudu, by dotrzeć do wszystkich tekstów na temat „ucieczki” Miłosza wydanych w tym okresie w prasie londyńskiej, a oparł się na dwóch — niestety, bardzo niedoskonałych — opracowaniach, tj. publikacjach Andrzeja Paczkowskiego oraz Joanny Pyszny<sup>2</sup>. Może uniknąłby wówczas powtarzania<sup>3</sup> tezy o niesprawiedliwym i bezprecedensowo „brutalnym” potraktowaniu Miłosza przez emigrację londyńską, która funkcjonuje w dyskursie naukowym niemal od roku 1951. Tezy daleko nieprawdziwej i nieuczciwej, wynikającej z doraźnych potrzeb paryskiej „Kultury” w tamtym okresie.

---

<sup>1</sup> A. Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011, s. 462–473.

<sup>2</sup> [A. Paczkowski] Jakub Andrzejewski, *Miłosz’51*, Krytyka (wyd. angielskie) 1983 nr 13–14, s. 203–206 i n. (tam załączniki); J. Pyszny, „Sprawa Miłosza”, czyli poeta w czyścúcu, [w:] *Poznawanie Miłosza 2, cz. 1: 1980–1998*, pod red. A. Fiuta, Kraków 2000, s. 53–81, przedruk w: *Boje na łamach. Pisarze i literatura w prasie polskiej lat pięćdziesiątych XX wieku. Szkice*, Wrocław 2002.

<sup>3</sup> Należy zaznaczyć, że A. Franaszek zauważył głos osobny w dyskusji na ten temat: M. A. Supruniuk, *Zagadki Czesława Miłosza. Rok 1951 — wstęp do opisu*, Kresy 2003 nr 2–3, s. 54–79; poprawiona wersja w: tenże, *Przyjaciele wolności. Polacy w Kongresie Wolności Kultury*, Warszawa 2008, s. 117–168.

Nie jest celem tego szkicu zastanawianie się, czy Miłosz pisząc i drukując w „Kulturze” manifest *Nie* był w tej decyzji samodzielny, czy realizował jedynie plany Redakcji, czy postąpił słusznie (i co w owym czasie by to znaczyło), ani tym bardziej czy mógł przewidywać skutki swojego wystąpienia, jak powinien był zareagować na głosy polemiczne itd. Kwestiom tym poświęciłem swego czasu osobne studium i mógłbym jedynie dorzucić, „zagubiony” wówczas fragment listu Jerzego Giedroycia do Juliusza Mieroszewskiego z 28 lipca 1955 r., który jak się zdaje potwierdza moją tezę:

Otóż mogą być nowi Miłosze, może być „nowa emigracja”, tylko ona się będzie liczyć i merytorycznie, i u polityków zachodnich. Otóż dzięki naszej taktyce ta „nowa emigracja” będzie się dziś już wprost mechanicznie skupiać koło „Kultury”. To spowodowała i sprawa Miłosza, któremu wbrew wszystkim udzieliliśmy opieki i którego zalansowaliśmy, oraz to, że dziś już „warszawiacy” wiedzą, że z nami można rozmawiać bezpiecznie, to znaczy że rozmowy te nie są meldowane w żadnym wywiadzie i nie będą wykorzystane przez żadnego Bywalca<sup>4</sup>.

Nie ulega wątpliwości, że *Nie* adresowane było do polskiego Londynu, do tej części politycznej emigracji niepodległościowej, która skupiona była wokół polskiego rządu na uchodźstwie, polskich instytucji kulturalnych, społecznych i politycznych. W Londynie jednak niemal nie zauważono tekstu, paryskiej konferencji i emigracji Czesława Miłosza. Zaledwie trzy czasopisma londyńskiej emigracji zwróciły uwagę na to wydarzenie. Były to: „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, „Życie” i „Wiadomości”. Najmniejsza notatka o paryskiej konferencji Kongresu Wolności Kultury lub o artykule *Nie* Czesława Miłosza w „Kulturze” nie ukazała się ani w „Orle Białym”, ani w „Myśli Polskiej”, ani w „Robotniku”, ani w „Jutrze Polski” — by wymienić jedynie najważniejsze czasopisma polityczne polskiego Londynu w 1951 r. Już to tylko świadczyć może przeciw tezie o niechęci całej emigracji. Dodajmy, że również późniejsze wydarzenia, w tym zwłaszcza artykuł Mieroszewskiego i akcja paryskiego miesięcznika „w obronie poety” nie znalazły zainteresowania wyżej wymienionej prasy. A przecież zeszyty „Kultury”, choć w 1951 r. było to czasopismo marginalne i niemal w Londynie nieznane, były czytane i od czasu do czasu komentowane w prasie emigracyjnej. W „Orle Białym” np. ukazał się obszerny komentarz tekstu Juliusza Mieroszewskiego na temat udziału Polaków w armii Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Dlaczego zatem emigracja Czesława Miłosza przeszła niemal bez echa?

Rok 1951 był dla emigracji w Londynie ważny z wielu powodów, ale bez wątpienia nie były nimi emigracja i deklaracja Miłosza. Emigracja polska w Wielkiej Brytanii żyła przeszłością i starała się tą swoją przeszłością zainteresować Brytyjczyków, a w roku 1951 ukazały się po angielsku, oczekiwane i bardzo dobrze przyjęte, pierwsze książki dotyczące losów Polaków w Związku Sowieckim: Gustawa Herlinga-Grudzińskiego *A World Apart*, Józefa Mackiewicza *The Wood Katyn Murder*, Janusza Zawodnego *The Responsibility for the Katyn Massacre* oraz pierwsze angielskie wydanie *Inhuman Land* Józefa Czapskiego. W tym samym roku londyńskie BBC rozpoczęło cykl audycji o Katyniu<sup>5</sup> w związku z publikacjami i pierwszymi przesłuchaniami

---

<sup>4</sup> J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz. 2, wstępem poprzedził K. Pomian, Warszawa 1999, s. 124.

<sup>5</sup> W cyklu „Rozmowy ze świadkami historii” BBC poświęciło w czerwcu i lipcu 1951 r. dwie audycje w języku polskim omówieniu zbrodni katyńskiej. W drugiej audycji, 1 lipca, wzięły udział gen. Władysław Anders, gen. Tadeusz Bór-Komorowski i Józef Czapski; zob.: *Audycja o Katyniu w B. B. C.*, Orzeł Biały 1951 nr 24, s. 8.

świadców zbrodni katyńskiej, przed Komisją Senacką Senatu USA<sup>6</sup>. Emigracja żyła także terażniejszością, zwłaszcza tą krajową. W 1951 r. zmarł w Polsce kardynał Sapięha i zlikwidowano Polską Akademię Umiejętności<sup>7</sup> — wydarzenia te szeroko komentowano, dostrzegając konsekwencje tych wydarzeń. Ale emigracja myślała także o przyszłości: w Londynie powstawał Polski Uniwersytet na Obczyźnie<sup>8</sup>, likwidacji uległo International Refugee Organization (IRO) i wielka liczba emigrantów pozostała bez pomocy, a w Monachium powstała Polska Sekcja Radia Wolna Europa.

Także ucieczek i „wyboru emigracji” było w roku 1951 niemało<sup>9</sup>. Chwilę przed Miłoszem „wolność wybrał” Stanisław Jerzy Lec (choć na krótko), a nieco później m.in. Roman Palester. Uciekli pasażerowie statku „Batory”, który dopłynął do Stanów Zjednoczonych oraz marynarze innych jednostek pływających<sup>10</sup>, a dwaj młodzi ludzie ukryli się pod podłogą samolotu pasażerskiego i poprosili o azyl w Berlinie. Prasa emigracyjna starała się odnotowywać wszystkie te wydarzenia, niektórym poświęcając cykl artykułów, wywiadów lub sesje fotograficzne.

Nie może też być zatem mowy — co sugerował m.in. Zygmunt Zaremba — o niechęci emigracji polskiej do nowych uciekinierów *a priori*. Roman Palester nie znalazłby w prasie emigracyjnej ani jednej niepocholebnej notatki na temat swojej decyzji o pozostaniu na emigracji. Było na ogół współczucie i poczucie zadowolenia, ba — nawet satysfakcji — że oto, „najlepszy z ustrojów” opuszczają ludzie młodzi i zdolni.

A jednak — powtórzmy — ucieczka Miłosza przeszła w Londynie niemal bez echa. Nieadekwatną do swego rodzaju „zadęcia”, z jakim ogłoszono ją w Paryżu, reakcję emigracji londyńskiej na *Nie* Czesława Miłosza nazwałbym jednym słowem — zażenowanie. Oto młody, wybitnie zdolny poeta, który powinien być chlubą literatury polskiej, napisał tekst pełen pretensji i nieprawd. Nie przeprosił za swoje wybory wcześniejsze, za udział w utrwalaniu ustroju bolszewickiego w Polsce, za wspieranie władzy, za pracę w ambasadach peerelowskich, ale „przeprosił” za to, że wybrał emigrację. Jakże różne było to rozliczenie z PRL-em od podobnego, lecz spokojnego i wyważonego w treści, tekstu R. Palestra *Konflikt Marsjasza*, również opublikowanego w „Kulturze”<sup>11</sup>, jakże inne od wyznania Norwida z połowy XIX stulecia — *Głos, niedawno do wychodźstwa polskiego, przybyłego artysty* — które na koniec roku 1951 przypomniał „Orzeł Biały”. Aż trudno się oprzeć wrażeniu, że nie była to publikacja przypadkowa<sup>12</sup>.

Znacznie poważniejsze i o wiele bardziej dramatyczne reperkusje miała ucieczka Miłosza w Polsce. Napisałem w szkicu *Zagadki Czesława Miłosza*:

---

<sup>6</sup> 26 czerwca 1961 r. kongresman T. P. Sheehan z Illinois wniósł w Izbie Reprezentantów rezolucję w sprawie wykrycia sprawców zbrodni w lesie katyńskim. *Sprawa Katynia w Kongresie Stanów Zjednoczonych*, Orzeł Biały 1951 nr 29, s. 7–8; Z. S., *Katyn w kongresie Stanów Zjednoczonych*, Orzeł Biały 1951 nr 36, s. 4.

<sup>7</sup> M. Kukiel, *Abdykacja Polskiej Akademii Umiejętności*, Orzeł Biały 1951 nr 31–32, s. 1.

<sup>8</sup> *Polski Uniwersytet na Obczyźnie. Jego cele i organizacja*, Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 1951 nr 267, s. 3; Steben, *Polski Uniwersytet na Obczyźnie*, Orzeł Biały 1951 nr 41, s. 3.

<sup>9</sup> S. Klinga, *Ucieczki z Kraju*, Orzeł Biały 1951 nr 35, s. 8.

<sup>10</sup> T. Zawadzki, *Ósemka z „Batorego” opowiada o swoich losach*, Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 1951 nr 182, s. 2; W. Patek, *Rozmowa z uciekinierami z Polski*, Orzeł Biały 1951 nr 37, s. 4–5.

<sup>11</sup> R. Palester, *Konflikt Marsjasza*, *Kultura* 1951 nr 7–8(45–46), s. 3–16.

<sup>12</sup> C. K. Norwid, *Głos, niedawno do wychodźstwa polskiego, przybyłego artysty*, Orzeł Biały 1951 nr 51/52, s. 6–7.

Ważność emigracji Miłosza dla polaryzacji poglądów oraz pogłębienia podziałów politycznych i ideowych społeczności wychodźczej może być i powinna być, dyskutowana. „Ucieczka” poety miała bezsporne, lecz dotąd nieujawnione, reperkusje w krajowym środowisku literackim i intelektualnym. Na długie lata „utrudniła”, czy wręcz uniemożliwiła wybór podobnej drogi innym pisarzom z Polski. Emigracje Andrzeja Stawara, czy Artura Marii Swinarskiego mogły nastąpić dopiero na przełomie lat 50. i 60., a Aleksandra Wata jeszcze później. Rację miał zatem Miłosz pisząc w lipcu lub sierpniu 1951 roku do Michała Chmielowca: „W każdym razie «Sprawa Miłosza» ma prawdopodobnie ten skutek, że już nikt z pisarzy w Polsce nie odważy się na podobny krok, nawet gdyby mógł (np. via Berlin). Nie żeby aż tak zupełnie wrogo mnie przyjęto, ale przecież jeżeli różne artykuły docierają do Polski, to tam ryczą ze śmiechu, bo znają «grę». Nie, może uciekać chłop czy robotnik czy marynarz, ale dla pisarza nie ma wyjścia: bo motywacja czynów i sposób myślenia nawet są zupełnie inaczej interpretowane niż w Kraju<sup>13</sup>”.

Czy Miłosz pisząc do Chmielowca nie zdawał sobie sprawy z wydarzeń, które miały wkrótce nastąpić w Polsce, a których celem nie był on, ale wszyscy „jemu podobni” intelektualiści w kraju? Mam na myśli zorganizowaną akcję wystąpień pisarzy (A. Słonimski, J. Iwaszkiewicz) potępiających emigrację poety. Byłby wątpliwy, że to właśnie ta akcja — a nie opinia emigracji i teksty Piaseckiego — uniemożliwiły wyjazdy z Polski aż do końca lat 50.? Tekst Czesława Miłosza z grudnia 1951 r. — list otwarty *Do Antoniego Słonimskiego*, wydaje się temu przeczyć<sup>14</sup>. Dlaczego zatem nie dostrzegają tego historycy biografii Miłosza?

Wydaje się, że czytając teksty publikowane w Londynie na temat ucieczki Czesława Miłosza, koniecznie trzeba zwrócić uwagę na wydarzenia, które miały miejsce przed rokiem 1951. Miłosz był obecny w prasie i publikacjach polskiej emigracji na długo przed swoją emigracją. Dotyczy to zarówno głośnej antologii poezji polskiej przygotowanej przez Mieczysława Grydzewskiego<sup>15</sup>, w której dwóch wydaniach opublikowano wiersz poety *Campo di Fiori* (publikacja ta miała konsekwencje, których echa widoczne są w korespondencji Miłosza z Grydzewskim)<sup>16</sup>, jak i druku poezji i eseistyki w czasopiśmie emigracyjnych. Dwa wiersze — *Baśń wigilijna* i *Rzeka* — wydrukowane zostały w mikołajczykowskim „Jutro Polski” w grudniu 1945 r.<sup>17</sup> Kolejne ukazały się w redagowanej przez Antoniego Słonimskiego „Nowej Polsce”, wówczas już jawnie współpracującej z Ambasadą PRL: *Pożegnanie*<sup>18</sup>, *Biedny chrześcijanin patrzy na rzeź w ghetcie*, *Portret z połowy X wieku*<sup>19</sup>. Tam również Miłosz opublikował szkice: *Przeżycie wojenne*<sup>20</sup>, *Granice sztuki*<sup>21</sup>. Należy również zauważyć, że Miłosz odwiedził Londyn, być może na zaproszenie „Nowej Polski”. 8 stycznia 1946

<sup>13</sup> Archiwum Emigracji, Archiwum Michała Chmielowca, AE/MC/VI, list Cz. Miłosza do M. Chmielowca [lipiec/sierpień 1951].

<sup>14</sup> Cz. Miłosz, *Do Antoniego Słonimskiego*, *Kultura* 1951 nr 12(50), s. 80–88.

<sup>15</sup> *Wiersze polskie wybrane. Antologia poezji od „Bogu rodzicy” do chwili obecnej*, zebrał i ułożył M. Grydzewski, Londyn 1944? [1946], s. 313–314; wyd. 2, Londyn 1948, s. 313–314.

<sup>16</sup> M. A. Supruniuk, *Poeta i redaktorzy „Wiadomości”. Czesław Miłosz w „polskim Londynie”*, [w:] *Życie literackie drugiej emigracji*, t. 2, pod red. B. Czarnieckiej i J. Kryszaka, Toruń 2004, s. 155–157.

<sup>17</sup> *Wiersze Czesława Miłosza*, *Jutro Polski* 1945 nr 51–52(53–54), s. 1.

<sup>18</sup> Cz. Miłosz, *Pożegnanie*, *Nowa Polska* 1945 t. 5 z. 3, s. 4–5.

<sup>19</sup> Tenże, *Biedny chrześcijanin patrzy na rzeź w ghetcie; Portret z połowy X wieku*, *Nowa Polska* 1946 t. 6 z. 3, s. 145–146.

<sup>20</sup> Tenże, *Przeżycie wojenne*, *Nowa Polska* 1946 t. 6 z. 1, s. 39–45.

<sup>21</sup> Tenże, *Granice sztuki*, *Nowa Polska* 1946 t. 6 z. 4, s. 209–224; z. 5, s. 274–282.

w Livingston Hall (42 Broadway, S.W.1, stacja St. James Park), jak podała prasa, o godz. 7 wieczorem odbył się wieczór poezji krajowej z udziałem Czesława Miłosza i Andrzeja Nowickiego<sup>22</sup>.

Najciekawsza jednak, i być może istotna ze względu na późniejsze wydarzenia, w tym reakcję „Dziennika Polskiego” na szkic *Nie*, była „korespondencyjna” polemika, pomiędzy Czesławem Miłoszem a Andrzejem Pomian-Dowmunttem, która miała miejsce na łamach prasy na początku 1946 r. Warto przywołać oba te teksty, z których jeden ukazał się w „Dzienniku”.

---

<sup>22</sup> *Wieczór poezji*, Jurto Polski 1946 nr 1(55), s. 3. Wydarzenie to nie zostało odnotowane w książce A. Franaszka.

Czesław MIŁOSZ

## W OBRONIE PISARZY. LIST DO REDAKCJI

Od pewnego czasu na łamach „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” toczy się dyskusja o zachowaniu się pisarzy polskich w czasie wojny i obecnie.

Uderza w tej dyskusji brak informacji zarówno w wypowiedziach ludzi złej jak dobrej woli. Ponieważ jestem członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich i lata wojenne spędziłem w Warszawie, poczuwam się do obowiązku zabrania głosu. Nie korzystałbym z Pańskiej uprzejmości, gdyby chodziło tylko o dobre imię moich kolegów, gdyż sądzę, że wartość dzieł napisanych bywa w takim wypadku najlepszą obroną. Wydaje mi się jednak, że można całą sprawę rozpatrywać jako zagadnienie ogólne, o większym niż tylko osobiste, znaczeniu.

Jako przykład niech posłuży sposób, w jaki potraktowano nazwisko Jarosława Iwaszkiewicza, który przez pierwsze walne zgromadzenie Związku Literatów w Krakowie we wrześniu 1945 r. został obrany prezesem Związku, odgrywającego, jak wiadomo ważną rolę w życiu kulturalnym Polski. P. Andrzej Pomian-Dowmuntt, który, jak rozumiem, przebywał w czasie wojny w kraju i z tego powodu uważa się za dostatecznie poinformowanego, aby wypowiadać opinie o postawie pisarzy, twierdzi, że Iwaszkiewicz „nie współpracował z Niemcami, ale jest to zarazem niemal wszystko, co można o nim w tym okresie powiedzieć. Cały bogaty nurt narodowego życia podziemnego, w którym nie zabrakło również i pisarzy ominął z daleka Iwaszkiewicza”. W dalszym ciągu p. Pomian-Dowmuntt zarzuca Iwaszkiewiczowi hedonizm, brak postawy bohaterskiej, poczym przytacza literatów, uznanych przez społeczeństwo polskie za zdrajców, jednym tchem wymieniając Stanisława Trembeckiego, Mniszewskiego, Zygmunta Kaczkowskiego, Michała Czajkowskiego — oraz... Skiwskiego i Wasylewskiego nie bez zręcznie wplecionej myśli, że taki sam los może spotkać Iwaszkiewicza za „ugodę względem Rosji”.

W odpowiedzi na to Zbigniew Grabowski próbował bronić Iwaszkiewicza. Uznając jednak powagę p. Pomiana jako źródła informacji w zakresie spraw krajowych, przyjmuje jako fakt stwierdzony, że Iwaszkiewicz trzymał się na uboczu wobec życia Polski podziemnej.

Cała ta polemika jest niezmiernie interesująca. Odślania ona bowiem mechanizm powstania urojeń.

1. A więc, ktoś, kto był w czasie okupacji w kraju, jest już przez to samo autorytetem wiedzy o wszystkich ludziach i wszystkich środowiskach działających w Polsce? Gdyby tak było naprawdę wątpić by można, czy nawet ta szczupła ilość literatów, muzyków, ludzi teatru i malarzy, która uchowała się, mimo że pracowała w ciągu tych lat w sposób zorganizowany — czy ta szczupła garstka ludzi mogłaby dziś być przedmiotem ataków za „ugodę z Rosją”. Plotkarstwo Warszawy było przerażające. Tenże Iwaszkiewicz (było to w czasie, gdy za dużo mówiło się o jego tajnej działalności kulturalnej) wszedłszy do jednej z kawiarni warszawskich, w których bywało tyluż gestapowców, co konspiratorów — został przywitany przez kelnera-aktora słowami: „uszanowanie panu ministrowi”. Dla kogoś, kto zna atmosferę Warszawy tych lat, takie odezwanie się nie będzie niczym dziwnym: kelner-aktor chciał pochwalić się, że już wie, że jest świetnie poinformowany. Prawda o działalności Iwaszkiewicza tak wygląda, że był on jednym z najczynniejszych tam, gdzie szła gra o ratowanie polskiej muzyki, teatru i piśmiennictwa i że właśnie w jego domu odbywały

się ważne konspiracyjne zebrania faktycznego ministerstwa kultury. O ile mnie pamięć nie myli, został za tę pracę odznaczony krzyżem zasługi przez ówczesne władze krajowe. Można oczywiście sprawę sztuki wyłączyć poza nawias „nurtu narodowego życia podziemnego” i twierdzić, że tylko propaganda polityczna, uprawiana w niezliczonej ilości gazetek albo akcja z bronią w rękę do tego nurtu należy. Jeżeli tak i jeżeli tajne akademie-koncerty Szymanowskiego, wieczory autorskie, wydawnictwa literackie, ukrywanie ludzi było tylko zabawą hedonistów — to Iwaszkiewicz stał na uboczu. Ten przyczynnik do dziejów oczerniania w Polsce zasługiwałby na obszerniejszą analizę. Zawsze u początku jest ktoś świetnie poinformowany, poczym się już nigdy raz postawionego zarzutu nie sprawdza. Zdaje się, że jest to typowy przebieg zjawiska moralnej dyskwalifikacji, które wśród naszego wychodźstwa przybiera takie rozmiary, że dyskwalifikuje się ok. 4/5 polskiego narodu.

2. Listę pisarzy, których Polacy uważali za zdrajców można by pomnożyć. Nie ma wybitnego pisarza, któryby nie był odsądzany od czci i wiary, jeżeli nie policzkowany i bity. Ubolewa nad tym już Norwid (patrz „Listy”). Poza tym Krasieński — spoliczkowany, Prus — bity przez studentów za powieść *Dzieci* (zdrajca-ugodowiec), Bobrzyński obrzucony jajkami za zdanie, że trzeba się porozumieć z Ukraińcami, Conrad — odstępcą narodowy, Żeromski — żydosocjał. Tych uniesień czystości i szlachetnego oburzenia nie należy jednak traktować z pobożnym podziwem. Ci, którzy ze smutkiem dowiedzieli się którego dnia przed wrześniem 1939 r., że Antoni Słonimski został spoliczkowany przez dziennikarza Ipohorskiego za obrazę honoru narodowego, w kilka lat później usłyszeli nowinę, że tenże Ipohorski został zastrzelony na ulicy Warszawy z wyroku organizacji jako niebezpieczny agent Gestapo. Moralne oburzenie nie świadczy jeszcze bynajmniej o moralności oburzonego, a pochopność, z jaką posługują się tą bronią ludzie zwalczający świat bliźnich, obdarzonych większym od nich umysłem i talentem, nie przemawia zbyt na korzyść tego sposobu załatwienia różnic w poglądach.

Słonność do robienia z życia narodu czegoś w rodzaju sprawy honorowej, z podaniem i niepodaniem ręki, dyskwalifikacjami itd. wywiera żalosne wrażenie na kimś, kto przyjeżdża z kraju. Tam bowiem nic nie da się rozwiązać w kategoriach honoru, a wszystko mierzy się bardzo konkretnym wysiłkiem zrobienia czegoś w trudnych warunkach. Sądzę, że jest to właściwa miara rzeczy ludzkich — nie tylko tam ale na całym świecie.

Ze chce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mego głębokiego szacunku.

„Jutro Polski” 1946 nr 3, s. 3.

Andrzej POMIAN-DOWMUNT

### **PISARZE NIE SĄ „TABU”**

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z polemiką która toczyła się niedawno na łamach „Dziennika Polskiego” o postawie kilku wybitnych pisarzy polskich — p. Czesław Miłosz w liście ogłoszonym w „Jutro Polski” z dnia 20.1.1946 r. zaatakował moją wypowiedź.

Zarówno samo zagadnienie, jak i osoba p. Miłosza, jednego z najbardziej utalentowanych żyjących poetów polskich — zmuszają mnie do zabrania głosu raz jeszcze w tej sprawie.

1. Nie pomniejszałem i nie pomniejszam zasług Jarosława Iwaszkiewicza dla kultury polskiej, natomiast wyrażałem wątpliwości i wyrażam je nadal, czy w obecnej trudnej sytuacji w Polsce potrafi on z pożytkiem dla sprawy polskiej sprawować odpowiedzialną rolę Prezesa Związku Literatów Polskich. Charakteryzując Iwaszkiewicza jako działacza, użyłem m.in. argumentu, że znakomity autor *Panien z Wilka* trzymał się z dala od polskiego ruchu podziemnego. P. Miłosz zbija to twierdzenie wieli przykładami. Wdzięczny mu jestem za uwagi mniej lub więcej mentorskie, a dotyczące wydarzeń, z których większość zresztą znam osobiście. Nie sądzę, abym pod ich wpływem mógł w sposób zasadniczy zmienić swoją opinię. Powiedzmy krótko: Iwaszkiewicz, będący człowiekiem materialnie niezależnym, poświęcał część swego czasu pracy na polu kulturalnym, która zawsze była jego pasją. Urządzał więc dla pisarzy polskich zebrania konspiracyjne różnego typu, oraz — o czym p. Miłosz nie pisze — zajmował się rozdziałem pieniędzy ze źródeł konspiracyjnych pomiędzy literatów. Spowodował też wydanie kilku tomików pisarzy polskich. Były one przeważnie — o czym p. Miłosz również nie pisze — odbite w kilkudziesięciu egzemplarzach i sprzedawane drogo znajomym bibliofilom. Jednym i pierwszym bodaj z nich był zeszyt wierszy samego p. Miłosza, wydany pod pseudonimem.

Literackie zebrania konspiracyjne były wieczorami autorskimi, czy kompozytorskimi, bądź też poświęcone były zagadnieniom kultury polskiej i planowaniu na przyszłość w tej dziedzinie.

Nie chcę umniejszać roli Iwaszkiewicza, muszę jednak stwierdzić, że policja niemiecka nie była wprost w stanie zajmować się tropieniem niektórych ich kategorii, jak n.p. zebrań literackich. Podczas wojny każdy niemal Polak konspirował w ten czy inny sposób lub udzielał swego lokalu dla rozmaitych celów organizacyjnych.

W rzadkich chwilach wolnych od innych zajęć, bywałem osobiście na zebraniach literackich. Na jednym z nich w mieszkaniu p. Jerzego Zagórskiego na Żoliborzu — sam p. Miłosz opowiadał o swych przeżyciach pod okupacją rosyjską w Wilnie. Uczciwość, z jaką potraktował ten temat, wcale trudny dla pisarza o poglądach radykalnych, zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Na innym z takich zebrań — p. Miłosz odczytał wnikliwy *essay* o Andre Gide, a na jeszcze innym — Andrzejewski swój *Apel*. W mieszkaniu na Czackiego w dyskusji po pompatycznym odczycie Jerzego Preyssa (Waldorfa) słyszałem samego „wielkiego wtajemniczonego” — Iwaszkiewicza. Wszystkie te zebrania odznaczały się wysokim poziomem oraz wielką megalomanią tego bądź co bądź grona pięknoduchów, którym wydawało się że od ich wypowiedzi, uchwał i planów zależy przyszły los Polski.

Nie chciałbym, aby mnie źle zrozumiano. Doceniam w pełni znaczenie takich zebrań dla kultury polskiej. Z życiem jednak Polski Podziemnej miały one nie o wiele więcej wspólnego, niż n.p. praca urzędnika w Strattonie z wysiłkiem żołnierza polskiego pod Monte Cassino.

2. Ślady owych zebrań konspiracyjnych, widoczne są w wystąpieniu p. Miłosza. Autor *Trzech zim* w atakach na pisarzy w przeszłości i obecnie widzi przede wszystkim zawiść ludzi małych względem jednostek „obdarzonych większym od nich umysłem i talentem”. Wydaje mi się, że jest to wielkie uproszczenie trudnego i skomplikowanego problemu. Nie przecząc istnienia wśród ludzi małej złośliwości, której ofiarą padła niejedna wybitna jednostka, nie mogę widzieć w tej złośliwości jedynej i najważniejszej przyczyny. O ileż częściej kłopoty pisarzy i artystów są wynikiem ich niepo-



radności życiowej, nadmiernej wrażliwości, lub przesadnego mniemania o samym sobie. Można pisać świetne powieści i znać się na polityce nie o wiele więcej, niż koń Aleksandra Wielkiego znał się na strategii. Talent literacki nie jest dostateczną kwalifikacją do działalności w wielu innych dziedzinach. W Polsce, gdzie w okresie niewoli otaczano wybitnych pisarzy wciąż niemal bałwochwalczą, literaci mają skłonność nie tylko do przeceniania swej roli i znaczenia, ale i do przybierania pozy wieszczów.

Dla uzasadnienia swej tezy p. Miłosz przytacza kilka nie najszcześniejszych przykładów. Można by wymienić wielu innych pisarzy, których atakowano. Na liście ich nie zabrakłoby ani Mickiewicza, ani Sienkiewicza. Spokojna analiza wszystkich tych wystąpień stwierdza jednak ponad wątpliwości, że po stronie atakujących bywała czasem też przynajmniej część racji. Nie przeszkodziło to zresztą Mickiewiczowi spocząć na Wawelu, a Sienkiewiczowi — w podziemiach Katedry Św. Jana.

Kłopoty i trudności związane z działalnością publiczną, spotykają zresztą zwykłych śmiertelników, a nie tylko ludzi „obdarzonych większym od nich umysłem i talentem”. Gdy ci malutcy jednak nie zwracają niczyjej uwagi, pisarze skłonni są ze swych własnych błędów i potknięć robić teatralne widowisko niechęci tłumu do geniusza. Pisarze nie są bynajmniej „tabu”. Jeśli nie chcą być atakowani na równi ze zwykłymi śmiertelnikami, powinni się powstrzymać od działalności, która naraża ich na konflikt z ogólną moralnością w sprawach prywatnych lub publicznych.

3. P. Miłosz, który lubi wytykać innym luki w znajomości faktów, sam nie zawsze jest najlepiej poinformowany. „Prus — bity przez studentów za powieść *Dzieci (zdrajca-ugodowiec)*” — pisze z emfazą p. Miłosz. Tymczasem cała ta smutna przygoda Prusa wyglądała zgoła inaczej, o czym można się przekonać choćby z lektury *Spojrzenia wstecz* Lenartowicza. Prus został spoliczkowany przez studentów nie za *Dzieci*, ani za „ugodowość” względem Rosji, jeno za dobitną ciętość, z jaką w jednej z „Kronik tygodniowych” (bodaj przed rokiem 1880) potraktował demonstracje studentów na odczycie Spasowicza o Wincentym Polu. Za *Dzieci* ogłoszone w r. 1910, powieść o roku dziewięćset piątym, osnutą na autentycznym wypadku w najbliższym otoczeniu Prusa, powieść, dającą się w niejednym wniosku zakwestionować, ale głęboko uczciwą — autora *Lalki* nie spotkało nic złego. Któż ośmieliłby się podnieść rękę na sześćdziesięciokilkuletniego schorowanego starca, czczonego przez cały naród jak świętość, któremu w dwa lata później urządzono manifestacyjny pogrzeb i wzniesiono na grobie na Powązkach pomnik z napisem „Sercu-serc”.

A więc nie przesadzajmy z tym policzkowaniem „zdrajców-ugodowców”. Nie każdy policzkowany jest Słonimskim, nie każdy policzkujący — Ipohorskim, tak jak nie każdy literat wileński jest Teodorem Bujnickim, któremu mimo jego niepospolity talent palnięto w łeb na ulicy, podobnie jak Ipohorskiemu.

4. Wydaje mi się, że cała polemika w sprawie pisarzy powinna doprowadzić do jakiegoś wniosku ogólniejszej natury. Czas już chyba postawić sobie pytanie, co wolno, a czego nie wolno obecnie pisarzowi polskiemu w sprawach publicznych. Otóż, jak sądzę, nie wolno postępować tak lekkomyślnie, jak pewien wybitny literat — p. Miłosz wie, że nie o nim myślę — który na koncercie szopenowskim (czy akademii) po zajęciu Polski przez Armię Czerwoną zabawiał się w gronie znajomych następującą przypowieścią: „Literatura jest wieżą z kości słoniowej. Nic jej nie zaszkodzi, jeśli ją pomalujemy na czerwono”. Mówiąc „na czerwono” literat ów myślał o Rosji, a nie o sprawie reform społecznych, o co, jak żywo, nie miałbym do niego żadnej pretensji.

Tak nie wolno ani mówić, ani robić. Nie wierzę, aby ten kolor czerwony pozostał na zewnętrznej tylko ścianie owej wieży z kości słoniowej. Sądzę, że wkrótce szeroka

rdzawą strugą zaląby jej wnętrze, a w najtajniejszym jej przybytku wyniosłby na ołtarz Lenina, lub Stalina.

Pisarz musi zawsze walczyć o prawdę. To jest jego rola i zadanie w sprawach publicznych. Chciałbym aby można było w przyszłości napisać, że pp. Iwaszkiewicz i Miłosz spełnili to zadanie pisarza polskiego.

Londyn, 21 stycznia 1946 r.

PS. Przepraszam p. Miłozsa, jeśli go w czym dotknąłem. Raczy to złożyć na karb temperamentu a nie intencji. Chodziło mi nie o osoby, ale o sprawę nader ważną, a przejmującą nas wszystkich najgłębszą troską.

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 1946 nr 21, s. 3.

## CHRONOLOGIA ROKU 1951

Chronologia jest ważna, pozwala bowiem dostrzec, że kolejne teksty publikowane w Londynie w roku 1951 nie były reakcją na deklarację Miłozsa *Nie*, a tym bardziej na jego ucieczkę z PRL-u, lecz „alergicznym” odruchem na wypowiedzi i pouczenia publicystów „Kultury”, zwłaszcza na uproszczenia i nieprawdy w tekstach Juliusza Mieroszewskiego, autora — co warto zaznaczyć — zwrotu „sprawa Miłozsa”.

\*\*\*

Kwiecień — ukazał się w „Kulturze” (nr 4), w dziale „Sprawy krajowe”, artykuł Marii Strzałkowskiej zatytułowany *Dalsze nocne rodaków rozmowy*. Pod pseudonimem „Strzałkowska” ukryła się Maria Czapska, która używała tego nazwiska dla tekstów w prasie londyńskiej m.in. w „Życiu”<sup>23</sup>. Tekst jest rodzajem sprawozdania ze spotkania z przybyszem z kraju. Czytelnicy, zwłaszcza po maju, domyślili się w interlokutorce Strzałkowskiej samego Czesława Miłozsa. Wskazuje na to zarówno doskonały i bardzo szczegółowy opis warszawskiego środowiska literackiego, jak i logika: wydaje się mało prawdopodobne, by Maria Czapska, goszcząc, przez kilka miesięcy, pod jednym dachem w domu przy 1 ave Corneille, przybysza z kraju tak doskonale zorientowanego w sytuacji społeczno-politycznej, wybierała się na potajemne wypadki do Paryża, by dowiadywać się nowinek od kogoś anonimowego. Grydzewski dowiedział się o tych podejrzeniach od Ireny Paczkowskiej<sup>24</sup> i prawdopodobnie podzielił się nimi. Bez wątpienia znał tekst Strzałkowskiej, bo w swoim „Silva rerum” wykorzystał fragment dotyczący Juliana Tuwima;

---

<sup>23</sup> [E. Głębička] E. G., *Czapska Maria*, [w:] *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny*, oprac. zespół pod red. J. Czachowskiej i A. Szałagan, t. 2: C-F, Warszawa 1994, s. 84.

<sup>24</sup> „Co do Miłozsa bardzo nam się z Zosią [Romanowicz] podoba coś napisał w «Wiadomościach». Trafne i po naszej linii. Cała ta sprawa jest wysoce niesmaczna, włącznie z pierwszym artykułem podpisanym Maria Strzałkowska! Wśród jego dawnych «compadres» krążyła wersja iż wrócił do Warszawy, bo dla niego zgniła Francja (dosłowne i z pierwszego źródła). Myśmy wiedzieli, że schronił się do Czapskich do Laffite’u”; Archiwum Emigracji, Archiwum „Wiadomości”, AE/AW/CCXXXVII, list Ireny Paczkowskiej do Mieczysława Grydzewskiego, b.d. [maj 1951].

Maj — artykuł Czesława Miłosza *Nie*. Warto zwrócić uwagę, że w „Nocie biograficznej autorów”, redakcja „Kultury” nie wspomniała o dyplomatycznej karierze Miłosza, informując jedynie: „Znany jest jako tłumacz poetów angielskich, amerykańskich i francuskich. W latach 1945–1950 spopularyzował w Polsce szereg dotychczas nieznanymi nazwisk literackich Anglii i krajów Ameryki”.

W „Kulturze” majowej ukazały się ponadto wiersze Cz. Miłosza: *Moje credo poetyckie*, *Fragment z poematu „Toast”*, *Mdło bzykający*, *Do Jonathana Swifta*, *Do T. Różewicza*, *poety*. Niektóre z wierszy były przedrukami z prasy krajowej.

Kultura 1951 nr 5(43), s. 3–13;

16 maja — pierwszy głos w polskim Londynie: felieton BYWALCA [najpewniej Karol Zbyszewski] *Podstuchane*.

Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 1951 nr 116, s. 4;

24 maja — artykuł J.S. [Juliusz Sakowski] pt. *Szaleństwo i kariera*.

Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 1951 nr 123, s. 3;

3 czerwca — felieton Mieczysława Grydzewskiego w cyklu „Silva rerum”.

Wiadomości 1951 nr 22(270), s. 4;

3 czerwca — notatka *Ucieczka Miłosza*.

Życie 1951 nr 22(206), s. 4;

3 czerwca — artykuł Jana Bielatowicza pt. *Logika Czesława Miłosza*.

Życie 1951 nr 22(206), s. 4;

Czerwiec — esej Czesława Miłosza pt. *Poezja i dialektyka*.

Kultura 1951 nr 6(44), s. 32–39;

22 czerwca — felieton T. Baki (najpewniej pseudonim) pt. *Kumoszki z Windsoru czyli nowa moda wśród literatów polskich*.

Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 1951 nr 148, s. 2;

21 lipca — artykuł Michała Chmielowca w „Dziale pochwał” pt. *Powitanie poety*.

Życie 1951 nr 29, s. 4;

Lipiec/sierpień — artykuł Juliusza Mieroszewskiego w dziale „List z Wyspy” pt. *Sprawa Miłosza*.

Kultura 1951 nr 7/8(45/46), s. 95–102;

Lipiec/sierpień — wypowiedź Czesława Miłosza pt. *Odpowiedź*.

Kultura 1951 nr 7/8(45/46), s. 103–105;

Lipiec/sierpień — esej Czesława Miłosza pt. *Ketman*, piąty rozdział *Zniewolonego umysłu*.

Kultura 1951 nr 7/8(45/46), s. 24–43;

Lipiec/sierpień — artykuł Zygmunta Zaremby pt. *Wobec nowego uchodźcy (Czesława Miłosza)*.

Kultura 1951 nr 7/8(45/46), s. 89–95;

11 sierpnia — artykuł Aleksandra Bregmana pt. „*Nawrócony*”, *ale czy całkiem?* „*Sprawa Miłosza*”, *to nie problem nowego uchodźcy*.

Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 1951 nr 191, s. 2–3;

26 sierpnia — esej Lectora [Gustaw Herling-Grudziński] w dziale „Czasopisma obce” pt. *Murti-bing*.

Wiadomości 1951 nr 34(282), s. 4;

4 listopada — artykuł Sergiusza Piaseckiego zatytułowany *Były poputczyk Miłosz*.

Wiadomości 1951 nr 44(292), s. 3;

Listopad — esej Czesława Miłosza pt. *List do Gombrowicza*, w odpowiedzi na esej Witolda Gombrowicza *Przeciw poetom*.

Kultura 1951 nr 11(49), s. 119–124;

Grudzień — ukazało się *Oświadczenie (w sprawie nowej emigracji w związku ze „sprawą Miłosza”)*.

Kultura 1951 nr 12(50), s. 3–4;

Grudzień — List otwarty Czesława Miłosza *Do Antoniego Słonimskiego*.

Kultura 1951 nr 12(50), s. 80–88;

22–29 grudnia — esej Cypriana Kamila Norwida pt. *Głos, niedawno do wychodźstwa polskiego, przybyłego artysty*.

Orzeł Biały 1951 nr 51/52, s. 6–7.

Lektura zamieszczonych niżej tekstów pozwala dostrzec różnicę w ocenie „sprawy Miłosza” (jego emigracji, konferencji w Paryżu, artykułu *Nie*, a także innych, publikowanych w „Kulturze” materiałów, w tym poezji) w prasie londyńskiej emigracji, przed wypowiedzią Juliusza Mieroszewskiego oraz po niej. Najbardziej skrajnym głosem w reakcji na felieton Londyńczyka był artykuł Sergiusza Piaseckiego, którego dokładne zrozumienie wymaga nie tylko zapoznania się z biografią *Miłosz A. Franaszka*, ale przede wszystkim lektury korespondencji Piaseckiego z Grydzewskim, która znajduje się w Archiwum Emigracji. Proste wyjaśnienia, które sugeruje Franaszek, domyślając się osobistego kontekstu wypowiedzi Piaseckiego, tkwiącego głęboko w wileńskiej wspólnej przeszłości i związku z tą samą kobietą, nie wydają się wyczerpujące. Pominięcie wileńskiej przeszłości grupy komunizujących studentów, zubaża kontekst polemicznego zaangażowania się obu stron.

Bez względu na ostateczną ocenę, wypowiedź Piaseckiego była w roku 1951 głosem wyjątkowym i nie może być traktowana jako typowa dla opinii całej emigracji londyńskiej — niepodległościowej.

[Karol Zbyszewski] BYWALEC

## PODSŁUCHANE

Następnym (po S. J. Lecu) z literatów w służbie reżymu, który „wybrał wolność”, jest znany poeta, Czesław Miłosz. Przez dłuższy czas pracował on w ambasadzie Winiewicza w Waszyngtonie. Ostatnio pełnił funkcję radcy kulturalnego reżymowej ambasady w Paryżu.

Po długoletnim pobycie za granicą, Miłosz był przez pewien czas w Kraju, skąd powrócił na placówkę paryską przed trzema miesiącami. Zdecydował się wówczas — po przyjrzeniu się sytuacji w Kraju — na zerwanie z reżymem i rozpoczął starania o otrzymanie prawa azylu od władz francuskich. Ostatnio azyl ten uzyskał i 15 b.m. wygłosił w Paryżu odczyt o warunkach życia i pracy intelektualistów za żelazną kurtyną. Odczyt zorganizował pod przewodnictwem I. Silone Kongres Obrony Kultury.

W okresie wojny Miłosz przebywał w Kraju. Na „rynku wydawniczym” Polski Podziemnej ukazały się wówczas jako druki konspiracyjne dwie jego prace: antologia poezji *Pieśń Niepodległa* oraz przekład głośnej książki J. Maritaina o upadku Francji w 1940 *Drogami Klęski*.

Reżymowi politrucy od literatury z górą rok temu krytykowali surowo współczesną twórczość Miłosza, zarzucając mu że nie chce podporządkować się w swych poezjach urzędowym nakazom „realizmu socjalistycznego” w sztuce.

Miłosz kończy książkę, która wkrótce ukaże się w języku francuskim i angielskim. Tematem jej będą metody stosowne przez reżymy komunistyczne wobec intelektualistów.

\*\*\*

W ostatnim numerze paryskiej „Kultury” artykuł Miłosza zamieszczony został na naczelnym miejscu.

— Co za błąd popełnił Miłosz! — pomyślałem sobie ujrzawszy ten artykuł.

Gdyby popracował jeszcze z rok w reżymowej ambasadzie „Kultura” poświęciłaby mu przynajmniej cały numer.

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 1951 nr 116, s. 4.

[Juliusz Sakowski] J.S.

## SZALEŃSTWO I KARIERA

Jest to historia pewnego samobójstwa. Tak określił Czesław Miłosz swoje zerwanie z demokracją ludową. Ceremonia tego zerwania nie przypominała obrzędu pogrzebowego; odbyła się w Paryżu z pompą i fanfarami, mimo żałobnego nastroju sprawy. Postanowienie zerwania dojrzewało w nim powoli, opisał je i opowiedział szybko i szczegółowo w słowach odkrywczych i lirycznych, które miały dać świadectwo prawdzie i miały wzruszać. Prawdę o życiu w demokracjach ludowych znamy od dawna bez Miłosza. Słowa jego nie wzruszają. Pozbawione są tego wewnętrznego tragizmu, duchowego rozdarcia, którym znaczone są ludzkie przełomy: utrata wiary, porzucenie idei, ruina złudzeń. Nie są to dzieje nawróconego komunisty, bo Miłosz nigdy nim nie był. Nie jest to zaparcie się nowej wiary, bo nie należał do wiernych. Jest to pożegnanie przeszłości, w której więcej było przypadku, niż świadomego wyboru, opuszczenie szeregów w marszu wspólnym bez przekonania, zwykłe wymówienie służby. Powinno mu towarzyszyć głębokie poczucie ulgi, radość z zerwanych więzów — towarzyszy mu westchnienie żalu na myśl o przerwanej karierze, lęk przed popełnionym szaleństwem. Spowiedź Miłosza ma wszelkie cechy pokajania się za zuchwałstwo powziętej decyzji. Nie jest rachunkiem jego dawnych błędów, ale próbą obrony dzisiejszej jego prawdy, tłumaczy dlaczego z nową wiarą zerwał, a nie dlaczego w niej tak długo trwał.

Zerwał w chwili, gdy jego „kariera literacka była zapewniona”. Napełnia go to zadumą nad wielkością dokonanej ofiary.

Na zebraniu urządzonym w Paryżu przez Przyjaciół Wolności Miłosz pouczał jak należy zwalczać nową wiarę wschodu i nie szczędził ostrych słów zachodowi, gromiąc go za brak idei. W walce z komunizmem zachód musi mu przeciwstawić ustroj społeczny, który zapewni nie tylko chleb, ale podniecie zbiorowego wysiłku, da ludziom spragnionym idei wizję, mogącą wzbudzić zbiorowe uniesienie. Przeżyte doświadczenia winny Miłosza napełniać nieufnością do ruchów, wywołujących mistykę mas. Ekstaza zbiorowych uniesień to zawsze ta sama młodzież dziarska i wyprężona, stalowe spojrzenie wodza, myśl i słowo wprzęgnięte w rydwan. Na tym samym zebraniu Miłosz opowiedział jak, w czasie ostatniego swego pobytu w Warszawie, zarzucono mu, że — jedyny wśród publiczności — drwiąco się uśmiechał na przedstawieniu sztuki, słuchanej w nastroju powagi i zbiorowego skupienia. „Kiedy to było?” — usiłuje sobie przypomnieć zgromiony poeta. Odpowiedź jest wyczerpująca: pada dokładna data sprzed półtora roku. W krajach zbiorowych uniesień nie tylko słowa i poglądy są niebezpieczne. Pilnowane są nawet odruchy. Podlegają nadzorowi władzy, która ustala dla nich przepisowe okoliczności, właściwy czas i miejsce. Łza i uśmiech nie jest już przyrodzonym prawem obywatela, świętym i nietykalnym jego dobrem, ale obowiązkiem, z którego zdaje rachunek. Przeróżający jest świat idei, w którym panuje zakaz uśmiechu. Brak wizji, głód idei? Póki istnieje świat, dławiony trwogą, obłędem zakazów i przepisów, walka toczy się nie o idee, ale o prawo do wzruszenia i gniewu, o swobodę uśmiechu, o wolne życie człowieka i spokój jego śmierci.

Miłosz spędził pięć lat zagranicą. Na placówkach dyplomatycznych służył lojalnie, jak sam to stwierdza, swojej „ludowej ojczyźnie”. W ciągu tego czasu stosunek jego do politycznej emigracji był „co najmniej ironiczny”. Dziś może już mniej ironicznie, jeżeli dla takich swoich stwierdzeń korzysta (o, mściwa ironio!) z gościny emigracyjnej „Kultury”. On, Miłosz, który „rozumiał dynamikę przemian zachodzących w Polsce”, widział w politykach emigracyjnych tylko „figury z wodewilu”. Emigracja, jej nadzieje

i zawody, polityka i życie, mogły mu się wydawać pocieszne, kiedy sam, będąc już poza krajem, służył wiernie nie swojej ojczyźnie, lecz Moskwie. Jeżeli tego nie rozumiał, można mu współczuć. Jeżeli rozumiał, ale nie mógł się zdobyć na wymówienie upokarzającej służby wcześniej, niż po pięciu latach doświadczeń, można mu nawet te lata zwłoki i wahań wybaczyć.

W odróżnieniu od „figur z wodewilu” nie pasuje go to jeszcze na bohatera dramatu.

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 1951 nr 123, s. 3.

Mieczysław GRYZEWSKI

## SILVA RERUM

Pan Czesław Miłosz, „ceniony polski poeta”, jak o sobie z uroczą skromnością pisze, którego „nazwisko literackie było wymawiane z szacunkiem”, a „kariera literacka... zapewniona”, przez sześć lat „lojalnie” służył swojej „ludowej ojczyźnie” jako attache kulturalny przy ekspozyturach sowieckich pod polską flagą, czy tzw. ambasadach Rzeczypospolitej w Waszyngtonie i w Paryżu. Po sześciu latach tej arcylojalnej służby p. Miłosz, przejrząwszy, postanowił popełnić „samobójstwo” i „przeciął” swoje „związki z polską demokracją ludową”. Pan Miłosz podciął tedy sobie żyły, żyły złotodajne, bo przecież zarobki pisarza w Polsce są „niebotyczne” (przy czym pisarz „zwykle” ma „piękne mieszkanie”), i mimo radości, że „półfeudalna struktura” przedwojennej Polski „została złamana”, zdecydował się pozostać wśród tej „politycznej emigracji polskiej”, do której stosunek jego „był co najmniej ironiczny”. „Samobójstwo” popełnił p. Miłosz dlatego, że po sześciu latach zorientował się, iż jego „poganina”, co prawda już oduczonego „kultu ezoterycznych szkół literackich”, ale mimo wszystko poganina, chcą „ochrzcić” wyznawcy „Nowej Wiary”, czyli — jak się domyśleć wolno — po prostu (w ezoterycznej terminologii emigracyjnej) sowieckiego komunizmu. Co więcej, po sześciu latach wypełniania swoich ludowych obowiązków wedle swego „najlepszego... rozumienia”, nieszczęsny samobójca spostrzegł się, że w tej nowej, już nie „półfeudalnej”, ale „zmierniczej ku socjalizmowi Polsce”, pisarz nie jest wolny, że podobnie jak w kraju „Nowej Wiary”, musi pisać wedle zaleceń rządu, że musi wypełniać przede wszystkim tzw. społeczne czy państwowe zamówienia. Dokonałszy po sześciu latach tego epokowego spostrzeżenia, tego wiekopomnego wynalazku, tego olśniewającego odkrycia, nie poprzestał na zachowaniu go dla siebie, ale pospieszył wystąpić ze swymi rewelacjami publicznie, rozgłosić je *urbi et orbi* w apologii *pro servitute mea* pod pompatycznym tytułem *Nie* w nr. 43 „Kultury”, skąd wzięliśmy wszystkie powyżej przytoczone cytaty.

Odstępstwo p. Miłosza od progów „Nowej Wiary” jest samo w sobie faktem bez znaczenia, odstępstwa tego rodzaju będą się mnożyły, przyjdzie chwila — może już niedaleka — kiedy przybiorą rozmiary żywiołowego zjawiska — lawiny. Cokolwiek da się powiedzieć o ich szczerości, są one objawem braku wiary w przetrwanie nowych „demokracji ludowych”, opartych na kulcie bolszewickiego knuta, stryczka i nagana. A skoro emigracja przeszła do porządku nad poszukiwaczami mocnych wrażeń, dla odmiany nie w wesołej kolonii nudystów, ale w tragicznej kolonii sowieckiej, rządzonej przez gepistów Radkiewicza; skoro przygarnęła do łona wysłanników Bermana, namawiających ją do powrotu na ojczyzny łono; skoro wybaczyła filutom, zerkającym ku Borejszy w nadziei, że będzie przemycił do Polski tomiki ich dzieł — nie ma żadnego powodu, by nie okazała się wielkoduszna w innych wypadkach. I jeżeliby p. Miłosz ograniczył się do konferencji prasowych dla dziennikarzy zagranicznych, na których by wyjaśniał motywy swego kroku, można by było od biedy dopatrzeć się w tym nawet pewnych korzyści propagandowych, skoro lewicowy Zachód wciąż jeszcze obdarza większym zaufaniem ex-komunistów, czyli dopiero kandydatów na reakcjonistów, niż osiwiłych w bojach z głupstwem, zabobonem i zakłamaniami komunistycznym czarnych rdzennych reakcjonistów z dziada pradziada.

Ale wykład p. Miłosza w polskim piśmie emigracyjnym był całkowicie zbyteczny. Jeśli po sześciu latach wiernej służby niewoli, p. Miłosz wybrał wolność, powinien był wraz z tą wolnością wybrać co najmniej sześćoletnie milczenie. Na wykład składa się



kilka oczywistych, banalnych i ogranych prawd, wygłoszonych w sposób mętny i pretensjonalny, oraz porcja oczywistych nonsensów. Tani frazes o „półfeudalnej strukturze” Polski przedwojennej nie znajduje żadnego pokrycia w rzeczywistości: w Polsce przedwojennej molołch państwa zagarniał coraz większe połaci życia, a kapitalizm prywatny i wielka własność ziemska znajdowały się na wymarcu. Takim samym demagogicznym frazesem są rzekome rozkosze, jakie spływają na pisarzy w państwach komunistycznych, w przeciwieństwie do „wielkich pisarzy przeszłości”, którzy „rzadko byli za ich życia honorowani”. Willa z basenem czy nawet pałacyk Tuwima, wystawiony za dochody z mieszczańskich fars i operetek, które Tuwim jak przerabiał za Piłsudskiego, tak przerabia za Bieruta i przerabiać będzie za Andersa (w myśl zasady: „Jakikolwiek jest los Polski, zawsze wiersze pisze Molski”), nie dowodzi jeszcze, by pisarz mógł się tam poświęcić „wyłącznie pracy literackiej”, a „piękne mieszkania” ogółu pisarzy polskich należą do majaków bujnej wyobraźni p. Miłosza. Do takich samych, jak rzekomy brak uznania dla „wielkich pisarzy przeszłości” za ich życia. Bo przykład Mickiewicza, Kraszewskiego czy Sienkiewicza, Puszkina, Turgieniewa czy Tołstoja, Goethego, Schillera czy Hauptmanna, Chateaubrianda, Victora Hugo czy France’a, Byrona, Dickensa czy Shawa nie potwierdzały zbyt wymownie tego dość lekko puszczanego aforyzmu.

Pan Miłosz pisze o swoim „ironicznym” stosunku do „politycznej emigracji polskiej”, która sprowadza się dla niego do „sporów kilkuosobowych stronnictw”. Taki drobiazg, że na tę „polityczną emigrację” składają się nie tylko „kilkuosobowe stronnictwa”, ale kilkaset tysięcy Polaków, którzy już w r. 1945 nie wrócili do Kraju dla tych samych powodów, dla jakich p. Miłosz zdecydował się nie wrócić dopiero w r. 1951 (po sześcioletniej „lojalnej” służbie), uszedł jego uwagi. Uwagi aroganckiego ex-ezoteryka uszło nawet i to, że gdyby nie ta tak „ironicznie” traktowana przez niego „polityczna emigracja”, nie byłoby i świetnej „Kultury”, która wspinałomyślnie otworzyła mu swoje łamy.

Pan Miłosz w pewnym miejscu przyrównywa siebie do „nędznego robaka, stojącego na drodze, którą ma przejść Historia w grzmocie czołgów i łopocie sztandarów”.

Cóż za megalomania!

„Wiadomości” 1951 nr 22(270), s. 4.

Z KRAJU

### UCIECZKA MIŁOSZA

Czesław Miłosz, wybitny poeta młodego pokolenia, przed wojną należał do znanego ze swych sympatii komunistycznych środowiska wileńskiego. Po wojnie szybko wypłynął na powierzchnię życia kulturalnego i dyplomacji. Jego wiersze były przyjmowane ciepło przez prasę reżymową i krytykę urzędową. Komuniści wyraźnie wabili Miłosza, a wileńscy przedstawiciele, którzy zajmowali czołowe stanowiska w administracji warszawskiej, popierali Miłosza gorąco. Po pewnym czasie Miłosz wyjechał z Polski, by zgodnie z ówczesną „modą” objąć posterunek dyplomatyczny. Został attachée [*sic!*] w reżymowej ambasadzie w Stanach Zjednoczonych. W końcu ub. roku przeniesiono Miłosza na stanowisko attachée [*sic!*] kulturalnego do Paryża.

Obecnie dowiadujemy się, że Miłosz „wybrał wolność”. Na konferencji prasowej zwołanej w dniu 15 maja, poeta oświadczył dziennikarzom, że w styczniu br. wezwano go do Warszawy i zaproponowano intratny „posterunek” w Kraju. Jeden z przyjaciół komunistów tak go namawiał: „Napiszesz od czasu do czasu odę na cześć Stalina, będziesz tłumaczył Szekspira, a jeśli trochę zajmiesz się marksizmem, to dostaniesz katedrę anglistyki na uniwersytecie”. Miłosz udał, że zgadza się na nęcące propozycje i poprosił o zezwolenie na powrót do Paryża, by móc zabrać swoje bagaże. Pozwolono mu, bo — jak tłumaczy — nikomu nie przyszło do głowy, że mógłby zrezygnować z tak wspaniałych propozycji, jakie mu dawano.

No i Miłosz wyjechał, by wybrać wolność. Zważywszy na to, że zrezygnował z tak wspaniałych propozycji, można by go uznać nieomal za męczennika. [...]

„Życie” 1951 nr 22(206), s. 4.

Jan BIELATOWICZ

## LOGIKA CZESŁAWA MIŁOSZA

„Wybranie wolności” przez Czesława Miłosza przypuszczalnie nie zdziwiło nikogo. Obecnie podziw wywołują tylko tacy ludzie, którzy mając sposobność jeszcze ciągle wolności nie wybrali. Należy jednak przypuszczać, że jeśli nadal będą mieli sposobność, wolność ich w końcu nie ominie.

Duży natomiast zawód sprawia credo wybitnego poety w godzinie apostazji od jego — jak ją określa — „Nowej Wiary”. Nie wypowiedział bowiem Miłosz ani jednej myśli oryginalnej, lecz powtórzył w poetyckiej formie wątpliwości i zarzuty, które nam, ludziom Starej Wiary, od dawna się znudziły jako truizmy. Zdumienie tylko ogarnia czelka, że tak zdolny i inteligentny poeta mógł tak długo mieć wątpliwości i że tak nieskoro podniósł zarzuty.

Sądę też, że mocodawcy warszawscy marnują góry pieniędzy. Czesław Miłosz przez pięć lat bardzo mało nauczył się marksizmu i zaiste niepoehlebne świadectwo rzetelności ideologicznego przygotowania wystawiał taki attachée [*sic!*] kulturalny, bądź co bądź w Waszyngtonie i Paryżu. Miłosz udowodnił w swoim programowym artykule pt. *Nie* w majowym zeszycie „Kultury”, że jest subtelnym i dobrym poetą, ale zdecydowanie lichym marksistą. Smutne to jest o tyle, że poeta nie wyrzeka się ostatecznie gotowości aby „starać się możliwie najlepiej zrozumieć Nową Wiarę”.

Więcej nawet: potrząsa dłoń przy głośnym „nie masz zgody, mopanku!”. Dostało się komunistom w artykule, bo dostało. Ale poeta nie zapomniał i o emigracji. „Mój stosunek — pisze — do politycznej emigracji polskiej był co najmniej ironiczny; na kimś, kto rozumiał dynamikę przemian zachodzących w Polsce, spory kilkuosobowych stronnictw robiły wrażenie bezużytecznej zabawy, a same postacie tych polityków wyglądały na figury z wodewilu”. Proszę, proszę. Cóż za porównanie takie Tomasz Arciszewskiego z Bierutem! Albo Tadeusza Bieleckiego z Jakubem Bermanem! Albo Michała Grażyńskiego z wojewodą Kokoszką! (Nie o nazwiska oczywiście chodzi, ale o ludzi.) Personalny argument Miłosza, trzeba przyznać, jest zgoła pomysłowy. Czy też nie uderza poety fakt, że te figurki z wodewilu połapały mądrość Miłosza już przed pięciu laty?

Jego antymarksistowska diatryba przekonywująca jest w tych punktach, w których Miłosz poddaje krytyce sowiecki ład, ale nielogiczna i niedorzeczna, ilekroć poeta wznosi się na wyżyny i usiłuje zrozumieć. Toteż w żaden sposób nie można pojąć, co mianowicie pociągało Miłosza w komunizmie, co było dla niego stroną dodatnią, jakie ideały trzymały go tak długo w służbie komunistów. Większość poetyckich argumentów oparta jest na rozbijającej naiwności, nieznanomości doktryny komunistycznej i co gorsza nieznanomości doktryn przeciwstawnych. Miłosz, podobnie jak znakomita większość wyznawców Nowej Wiary (i wszystkich w ogóle nowych wiar), nie zadał sobie trudu zaznajomienia się z wiarą starą. Jego apostolstwo nie wyrasta więc z dociekania czy rozczarowań, lecz z kwietyzmu cywilizacyjnego, z bezwładu myśli i woli, z sybarytyzmu duchowego, który nagle staje się posłuszny tym, którzy brutalnie przerwali drzemkę. *Nie* Czesława Miłosza, to jest spowiedź oportunisty.

Że komunizm jest „nową wiarą”, to nie żadne odkrycie. Dokonał go Lenin, a znakomitej krytyce poddał Mikołaj Bierdiajew. Jest to istotnie największa z herezji: religia bez Boga. Ci jednak krytycy komunizmu, którzy doznali zawodu tylko częściowo, zawodu z racji metod czy taktyki komunistów, ci są odpryskami heretyckimi, herety-

kami w obronie herezji i nie tylko nie przyśpieszają załamania się komunizmu, lecz powiększają zamęt w umysłach i potęgują bierność i apatię w działaniu.

Więc jakaż będzie dalsza rola Czesława Miłosza? Idąc po śladzie jego logiki, powinno nią być ulepszanie komunizmu, troska o szlachetność metod jego realizacji.

Czesław Miłosz dowiedział się, że w komunizmie jest wiele stron złych. Nie dowiedział się jeszcze, że cały komunizm jest zły w zasadzie, choć są w nim i strony dobre. Nie dowiedział się tego Miłosz i tysiące ludzi naszej epoki dlatego, bo zaznał w życiu jednej tylko wiary. Nie usiłował nigdy poznać innej.

Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że prawdy o swojej roli nie usiłuje tacić, chociaż ludzi się, jeśli sądzi, że mu w świetle tej prawdy do twarzy. Wbrew wstępnej deklaracji gest poety nie jest niczym innym, jak tylko odruchem zawiedzionej miłości. Zerwawszy z obiektem miłosnym, Miłosz nie wierzy i zaklina się, że nikogo już w życiu więcej nie pokocha. *Nie* to jest list kochanka, zawiadamiający o zerwaniu. Miłość bowiem tylko i to miłość ślepa mogła utrwalić na papierze taki n.p. pogląd, że „kraje Europy Środkowo-Wschodniej zostały podbite przez Nową Wiarę”. W poezji porównanie nie musi być zbyt ściśle i prawdziwe, ale zarówno w teologii, jak i polityce, a coś dopiero w dialektyce — musi. Chrześcijaństwo, z którym analogię przeprowadza poeta, istotnie „podbiło” Europę, ale dosyć odmiennymi od „Nowej Wiary” środkami. Chrześcijaństwo nie używało armat, wojsk, policji, łagrów ani tortur, podbijało zaś tylko tych, którzy sobie tego życzyli, wreszcie — zgodzi się chyba ze mną Czesław Miłosz — chrześcijaństwo nie dzieliło ludzi, jak to czyni komunizm — na trzy kategorie: pionierów, popuczyków i liszeńców. Istota chrześcijaństwa polega bowiem na tym, że wszyscy ludzie są w obliczu Boga równi.

Tylko ślepa miłość może dyktować takie poglądy, jak ten, że komunizm, to „światopogląd oparty na zasadach ściśle naukowych” i że „po raz pierwszy w dziejach powstało państwo oparte na podstawach naukowych”. Olbrzymia większość tworców państwowych i ich organizacja wyrosły z założeń naukowych; państwa średniowieczne oparły się na przesłankach arystotelizmu i scholastyki, państwa nowożytne na ideach Oświecenia, państwa współczesne na zasadach filozoficznego idealizmu, pozytywizmu, utilitaryzmu itd. Niby dlaczego marksizm miałby być bardziej naukowy, niż n.p. kapitalizm albo faszyzm? Miłosz jest zasugerowany do głębi „naukowością” marksizmu. Nie przychodzi mu do głowy, że owe recepty na każdy ludzki odruch, to po prostu ideał państwa policyjnego, a nie naukowego. Światopogląd marksistowski nie jest oparty na nauce, lecz na przekonaniu, a więc na wierze, że jego zasady są naukowe i to w dodatku nieomyślne. Źródłem społecznej nauki marksistowskiej jest wiara we własną nieomyślność.

Marksista nie może krytykować marksizmu. Nie może godzić wiary w słuszność idei z wątpliwościami i to tak zasadniczymi, jak podejrzenie w człowieku duszy. Aby móc wątpić, trzeba przestać być marksistą, trzeba mieć odwagę stać się kimś innym. Bo w imię czego wątpliwości, w oparciu o co? Bardzo to dziś powszechne i charakterystyczne stanowisko: być marksistą bez przekonania. Katolicy wiedzą, że sporo też dialektyki marksistowskiej (przynajmniej częściowo) można przyjąć z pożytkiem. Trzeba jednak odrzucić z miejsca i bezapelacyjnie podstawę filozofii marksistowskiej, którą jest monizm materialistyczny. Być jednak spirytualistą i marksistą zarazem, to tyle, co żenić wodę z ogniem albo czynić kwadrat z koła. Groza komunizmu polega na tym, że świat przepelniony jest wątpliwościami pięknoduchami, wygodnisiem, dla których religia jest więzieniem i mędrkami, dla których wiara nie da się pogodzić z rozumem. Marksizm jest właśnie konsekwencją tego poglądu i zapewne dlatego swoją wiarę obwarowuje strachem i terrorem. Wszystkie wymienione typy psychiczne to ludzie,

którzy ustali w pół drogi i nie odważyli się wyciągnąć pełnych konsekwencji ze swych materialistycznych założeń. Relatywizm prawdy jest jedną z czterech zasadniczych tez marksizmu. Bezwzględność prawdy jest natomiast fundamentem chrześcijaństwa.

Taka jest Stara Wiara. Różni się tym od Nowej, że nikogo nie podbija, nie niszczy wolności ludzkiej osoby i nikogo nie opłaca, przynajmniej na tej ziemi. Wymaga od człowieka przyznania się do błędów, a potępia tych, którzy z błędów radzi by czynić cnoty.

„Życie” 1951 nr 22(206), s. 4.

T. BAKA

## KUMOSZKI Z WINDSORU CZYLI NOWA MODA WŚRÓD LITERATÓW POLSKICH

[...] Rekord megalomanii osiągnęła jednak „Kultura” w numerze z maja b.r.

W numerze tym Czesław Miłosz, poeta, ogłasza swoją *confession*. Miłosz był przez blisko sześć lat urzędnikiem propagandowym ambasad komunistycznych w Waszyngtonie i Paryżu. Pracował dobrze i z powodzeniem. Ale wiosną 1951, rozczarował się i postanowił do kraju więcej nie wracać. Wszystko w porządku. Miłosz [jeżeli] zechce może teraz jechać z powrotem do Ameryki (tym razem w charakterze emigranta) i spokojnie kontynuować swoje przekłady z Szekspira. (Przekładanie Szekspira jest ulubionym zajęciem poetów, rozczarowanych do komunizmu, albo nawróconych na komunizm.) Ale Miłosz chciał nadać zmianie swego statutu trochę blasku. Wydrukował więc w „Kulturze” spowiedź ideologiczną i przy tej okazji ogłosił bez cienia zażenowania pochwałę własnej osoby. Tym razem to już nie kolega kolegę chwali, ale kolega sam się wychwala. Miłosz nazywa więc sam siebie „cenionym poetą polskim”, mówi sam o sobie, że sztuki w jego przekładach grane były z „wielkim powodzeniem”, oświadcza, że „jego nazwisko wymawiane było z szacunkiem” (sic!), stwierdza, że „jego kariera literacka była zapewniona” itd.

To już jest naprawdę cały pagórek megalomanii, tym żałośniejszej, że drukowane obok „spowiedzi” nowe wiersze Miłosza brzmią niestety słabiej od dawniejszych i nie usprawiedliwiają go dostatecznie do nadawania sobie tytułu „cenionego poety”.

W tymże numerze niewyżyty autor *Pamiętnika z okresu dojrzewania*, p. Witold Gombrowicz, po przeprowadzeniu troskliwej analizy swojego własnego „ja”, dochodzi do wniosków, że był „autorem trudnym”, że był dostępny „tylko dla ludzi bardziej wyrobionych” i uprasza publiczność, aby nie zapomniała, że jest on „artystą” itd. Redakcja „Kultury” dodaje od siebie, że *Ślub* Gombrowicza wywołał wielką sensację w Argentynie i zyskał autorowi nowych wielbicieli m.in. Kuncewiczową. [...]

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 1951 nr 148, s. 2.

Michał CHMIELOWIEC

## „DZIAŁ POCHWAŁ”

[...]  
POWITANIE POETY

Pierwsze kroki Czesława Miłosza po wybraniu przezeń wolności — wywołały w emigracyjnych kółkach literackich pewien huczek... to za dużo powiedziane, więc: szmerek, wyraźnie zresztą nieprzyjazny dla autora *Trzech zim*. Pomijając już nawet zasadniczą sprawę „nieco” spóźnionego zerwania z Moskwą, trudno nie przyznać słuszności krytykom poety w ich ujemnej ocenie jego pierwszych swobodnych wystąpień. Po Miłoszu można się było spodziewać głębszych wyznań, ciekawszych rozważań o poezji i lepszych wierszy, niż ogłoszone w dwu ostatnich zeszytach „Kultury”. Niechęć zaostrzyły nietaktowne uszczypliwości w stosunku do emigracji, które „cenyony poeta”, jak Miłosz sam siebie niezbyt zręcznie nazwał, mógł sobie darować na progu swej własnej emigracji.

W przeciwieństwie do sztuki wiersza, o czym tak pięknie sam kiedyś napisał:

Dopóki ogień pragnień surowy  
na usta spada  
w nieznanych nocy senne parowy  
wiedzie mnie rada  
Muza, muzyka. A sztuka wiersza  
wiernie mi służy  
i lekko biegnie za stukiem serca  
jak deszcz po burzy...

— Miłosz nigdy nie miał szczęśliwej ręki do prozy. Polityka też mu nie służyła. Mimo wszystko wśród uczuć wywołanych przez jego postanowienie nie powinno braknąć szczerzej radości z tego, że jeden z najciekawiej się zapowiadających poetów polskich odzyskał możliwość swobodnego rozwoju. Cóż może być bardziej przekonywującym wyrazem uznania dla poety, jak odtworzenie z pamięci, po tylu latach — choćby tych dwu przytoczonych wyżej zwrotek, których wyszukana muzyczność idzie w dorodnej parze z prostotą i zwięzłością? Niezwykle zagęszczenie kunsztownych aliteracji i asonansów wewnętrznych, zwłaszcza w drugiej zwrotce, od razu usprawiedliwia wysokie mniemanie poety o sobie, które w prozie („moja kariera literacka była zapewniona”) jest drażniącą zarozumiałością, w poezji jednak ma odwieczną szanowną tradycję, poczynając od horacjańskiego *non omnis moriar (toutes proportions gardées)*.

Przed paru laty, pod wrażeniem pierwszej wzmianki o smutnej działalności Miłosza po wojnie, napisałem do niego list otwarty, który, o ile wiem, nie doczekał się nigdzie ogłoszenia i którego początek pozwolę sobie przytoczyć na zakończenie tej notatki:

Ponieważ przebywa Pan obecnie za granicą, mam nadzieję, że ten list znajdzie się w Pańskich rękach. Bez cienia złośliwości przypuszczam, że nie odmawia Pan sobie teraz przyjemności czytania „faszystowskiej” prasy emigracyjnej. Winien więc jestem Panu wytłumaczenie, dlaczego spisując te, poświęcone częściowo Panu, rozważania, obrałem dość niezwykłą i raczej intymną formę — listu, pomimo że nie łączy nas żaden stosunek osobisty w potocznym rozumieniu tych słów.

Chcąc znaleźć odpowiedź na to pytanie, musimy się cofnąć wstecz, do złotych czasów przed-kataklizmowej, „sanacyjnej” Polski, do roku, w którym się ukazało kilkakaset egzemplarzy pewnego tomiku wierszy. Piękno ich, niełatwe do zdefiniowania,

w najzwyczajszą i najszcześliwszą bodaj formułkę ujął wówczas młody krytyk krakowski, Kazimierz Wyka, umieszczając w nagłówku swej wnikliwej recenzji dwa słowa związane spójnikiem „i” — *Marmur i płomień*. Tomik nosił tytuł *Trzy zimy*, a autorem jego był Czesław Miłosz.

Wspominając te czasy pragnę zwrócić uwagę Pana na pewien drobny szczegół: *Trzy zimy* ukazały się zaledwie w kilkuset egzemplarzach. Dociekanie przyczyn tak wielkiego upadku czytelnictwa zaprowadziłoby nas na tereny ciekawe, ale zbyt dalekie od tematu tego listu. Chcę tu podkreślić jedno: kto należał wówczas do grona czytelników *Trzech zim* miał pełne prawo uważać się za członka dość ekskluzywnego bractwa, nie sądzę bowiem, by lista miłośników Pańskiej poezji przekraczała znacznie ilość odbitych egzemplarzy. W takich warunkach każdego czytelnika Pańskich wierszy łączyło z Panem to właśnie, co naszą garstkę dzieliło od masy inteligencji polskiej, która wolała czytać „Ikaca”, niż „Ateneum”, śpiewać przeboje, niż deklamować śpiewne cuda Czechowicza, znać na wrywki wszystkie rekordy Walasiewiczówny, niż umieć na pamięć choć jeden wierszyk Jasnorzewskiej. — A to nie było chyba tak mało.

Proszę mi wybaczyć teraz małą dygresję, o zbyt osobistym może charakterze: Nie będąc sentymentalnym podlotkiem ani... zawodowym krytykiem, nie „połykam” poezji. Czytałem mało wierszy i tylko te, które mi się naprawdę podobały, które — że tak powiem — coś we mnie poruszały. Można by ten stosunek do poezji nazwać „smakoszoństwem”, gdyby się to słowo nie kojarzyło z obrzydłym „czystym” estetyzmem. Nie czytałem wierszy tak jak się czyta gazety, czy nawet najlepsze powieści. Uważałem, że prozę się czyta, ale że poezję należy — odmawiać. Zamiast popularnych kwadransów „gimnastyki porannej” czy „muzyki lekkiej” urządziłem sobie nieraz kwadrans ulubionej poezji. Nic dziwnego, że, nie wiedząc kiedy, zebrałem spory kapitalik wierszy „umianych na pamięć”. Należała do nich np. Pańska *Kołysanka*, którą do dziś dnia mogę recytować.

Brnąc dalej w las wspomnień docieram do — tundry. Do autentycznej rosyjskiej tundry, dokąd za niewiadome przewiny zesłali mnie na pięć lat mocodawcy „rządu”, który dziś Pan uznaje. Spędziłem tam na szczęście „tylko”... dwie zimy. Jeśli był Pan kiedyś w obozie koncentracyjnym, wie Pan, jak wielką rolę w życiu więźnia odgrywają marzenia na jawie, ten wentyl bezpieczeństwa, który niejednego uchronił od obłądzenia. Każdy z nas miał wtedy swe kwadransy marzenia po czternastogodzinnej, zgoła nie uszlachetniającej pracy. Marzyliśmy o Polsce, o powrocie, o najbliższych, o chlebie, o uśmiechu, który stał się dla nas zjawą z innego świata. Opętany przez obsesję głodu śniły się gigantyczne piekarnie i niekończące się „pociągi pełne bochnów chleba”. Marzenia podpisanego nie odbijały zwykle od tego wzoru, niemniej jednak od czasu do czasu starym zwyczajem niejedną kwadrans poświęcałem poezji. Zdarzało się, że zamiast wpadać w trans na myśl o chrupiących bułeczkach czy polciach słoniny, „odmawiałem” sobie Staffa („bo więcej niżli chleba, poezji trzeba w czasach, gdy wcale jej nie trzeba”), Wierzyńskiego, Gałczyńskiego, Zagórskiego czy Miłosza. W atakowanym przez pelagré mózgu, z którego uleciały liczne imiona i nazwiska bliskich mi ludzi, wciąż kołatały się słowa *Kołysanki*. Może jednak, mimo wszystko, coś łączy mnie z Panem, jeśli nawet wtedy pozostałem wierny Pańskiej poezji?

„Życie” 1951 nr 29, s. 4.



Aleksander BREGMAN

## **„NAWRÓCONY”, ALE CZY CAŁKIEM? „SPRAWA MIŁOSZA”, TO NIE PROBLEM NOWEGO UCHODŹCY**

Paryska „Kultura” poświęciła część swego ostatniego numeru tzw. „Sprawie Miłosza”. Co to za sprawa?

Jak wiadomo, Czesław Miłosz, poeta i tłumacz, w ostatnich latach reżymowy attache kulturalny w Waszyngtonie i w Paryżu, przed kilku miesiącami „wybrał wolność”. Zerwawszy z reżymem wystąpił na łamach „Kultury” z artykułem, w którym tłumaczył swe postępowanie. Artykuł wywołał różne zastrzeżenia, którym dała wyraz prasa emigracyjna. „Sprawa Miłosza” to właśnie zagadnienie ustosunkowania się emigracji do osoby i postawy ideowej tego nowego emigranta politycznego.

Dla uniknięcia nieporozumień trzeba od razu zaznaczyć, że „Sprawa Miłosza” — to zagadnienie czysto indywidualne. Trudno się zgodzić ze wstępną uwagą skądinąd bardzo słusznego artykułu na ten temat Zygmunta Zaremby, że „wygląda na to, jak gdyby się chciano odgrodzić na zasiedziałych podwóreczkach emigracyjnego ghetta od nowych przybyszy”. A już zupełnie niepotrzebny jest protest innego uczestnika dyskusji na łamach „Kultury” Juliusza Mieroszewskiego przeciw reakcji, „która każe nam każdego nowego emigranta politycznego uważać za zdrajcę, kanalię, sprzedawczyka”. Tego rodzaju ustosunkowania do nowych emigrantów na uchodźstwie na pewno nie ma i być nie może. Olbrzymia większość nowych uchodźców przyjmowana jest z otwartymi rękami; dość wskazać na to, ile serca i zainteresowania okazała emigracja chłopcom z „Batorego”.

Inaczej jednak musi się mieć sprawa, gdy chodzi o kogoś, kto odgrywał jakąś rolę w systemie komunistycznym, służył reżymowi i oddawał nieprzyjacielowi usługi. Od wybierających wolność dyplomatów reżymowych, od pisarzy, którzy przez długi czas pozostawali na służbie komunistycznej — ma emigracja prawo domagania się rachunku sumienia, musi analizować istotne motywy i szczerowość zerwania z reżymem oraz gotowość rzeczywistego odrobienia wyrządzonego zła.

Występując jako obrońca p. Miłosza, pokrzywdzonego jakoby przez emigrację, która go nieufnie przyjęła, p. Mieroszewski stara się przedstawić go jako komunistę, który się nawrócił. Dziwi się on dlaczego pisma emigracyjne odnoszą się życzliwie do różnych zachodnich komunistów, którzy się nawrócili, jak Koestler, Silone, Douglas Hyde, b. redaktor angielskiego „Daily Worker” i nie oskarżają ich o oportunizm, natomiast inaczej odnoszą się do Miłosza.

To porównanie wydaje się mocno naciągnięte. Z wymienionych przez p. Mieroszewskiego b. komunistów, wszyscy za wyjątkiem jednego zerwali z komunizmem już przed wielu laty. Z tego, że ktoś był komunistą ideowym w latach trzydziestych, a więc przed paktem Stalina z Hitlerem i przed ujawnieniem całej prawdy o zbrodniach systemu stalinowskiego, trudno robić mu wyrzuty. Inaczej ma się sprawa z kimś, kto wierzył w komunizm i służył Stalinowi w 1951 r. A już z pewnością ma się inaczej, gdy ten ktoś jest Polakiem. Bo gdy jest, jak Douglas Hyde, Anglikiem, to między nim, a komunizmem nie znajduje się morze przelanej krwi, nie ma do przekroczenia jakiegoś angielskiego Katynia, w którym by zamordowano tysiące jego rodaków, nie ma łagrów, w których by katowano setki tysięcy innych jego rodaków i nie ma dokonanego rozbioru jego ojczyzny. Toteż co innego angielski komunist, nawrócony w 1951 r., a co innego, zupełnie co innego, komunista polski.

## CO KUPOWAŁ I ZA JAKĄ CENĘ

Zresztą sam p. Miłosz nieco inaczej stawia sprawę. Jest daleki od tego, by za przykładem Hyde'a dowodzić, że przejrzał, że się nawrócił. Domaga się on od nas, byśmy uznali długoletnie wysługiwanie się reżymowi jego i innych intelektualistów za w pełni uzasadnione płacenie haraczu komunistycznym władcom w zamian za możliwość działania. Pisze on:

Chirurg nie może uważać rzeźnika za równego mu zręcznością, tak samo wyćwiczony w precyzyjnych zabiegach Polak, Czech czy Węgier, uśmiecha się, dowiadując się, że ktoś na emigracji nazwał go zdrajcą (czy świnią), właśnie w chwili kiedy ów zdrajca (czy świnia) jest zaangażowany w rozgrywkę, od wyniku której zależy los piętnastu laboratoriów czy dwudziestu pracowni artystycznych. Jak się płaci — tego za granicą nie wiedzą. Nie wiedzą co się kupuje i za jaką cenę.

Jeśli chodzi o p. Miłosza, to rzeczywiście przyznajemy, że wciąż jeszcze nie wiemy co kupował, ani też jaką cenę zapłacił, względnie, że nie jesteśmy przekonani, czy to co kupował, było warte ceny, którą płacił.

Co bowiem kupował? Oto jego tłumaczenie:

Jeżeli już ktoś chce wnikać w powody, dla których służyłem oto one w skrócie. Gdybym zebrał swoje wiersze, przekłady i artykuły o literaturze wydrukowane w ciągu tych lat w kraju, złożyłyby się one na kilka książek. Możliwość dania młodemu człowiekowi z Mławy czy Grodziska prac literackich wykonanych według pewnych uczciwych założeń jest warta królestwa.

Wątpię, czy ktokolwiek inny rzeczywiście uzna, że to „warte królestwa”! Pozazdrościć można oczywiście p. Miłoszowi wysokiego mniemania o własnej twórczości i zdolności uspokajania własnego sumienia...

Jak płaci za możliwość publikowania swoich wierszy i przekładów? Na ten temat p. Miłosz zachowuje raczej milczenie. W szczególności nie powiedział do tej pory, na czym polegała jego praca jako dyplomaty reżymowego zagranicą. Sądzić należy, że pewne konkretne usługi musiał reżymowi wyświadczyć, skoro przez czas tak długi pozwalano mu przebywać na zachodzie.

## PISAĆ MOŻNA TYLKO W KRAJU?

Swoją tezę, że możliwość ogłaszania utworów w kraju warta jest wszystkiego, próbuje Miłosz generalizować. Tłumaczy nam, że w kraju „uważane jest za pewnik, iż miejsce pisarza jest z narodem, a pisarz, który oderwie się od swoich czytelników, niszczy”. Wywodzi on, że na swoje zerwanie z krajem patrzył „jako na koniec mojej działalności jako poety i tłumacza poetów”.

Gdyby przyjąć tę tezę, to trzeba by uznać, że Mickiewicz i Słowacki i inni poeci wielkiej emigracji sprzed stu laty, a teraz Lechoń i Baliński, Wierzyński i Łobodowski i dziesiątki innych niszczyli, że natomiast nie niszczyli Tuwim, Broniewski czy Gałczyński, ponieważ nie oderwali się od czytelników z kraju i karmią ich poematami o Dzierżyńskim czy Stalinie!

To już naprawdę zakrawa na kpiny ze zdrowego rozsądku.

Nie można oprzeć się wrażeniu, że w ogóle dla Miłosza wyrzeczenie się współpracy z reżymem było przeżyciem niezwykle bolesnym. Jakże znamienne jest jego politowanie dla ludzi na zachodzie, a zwłaszcza dla intelektualistów zachodnich: „...ich

emocjonalne i umysłowe życie jest zbyt rozproszone... wszystko co myślą i czują ulatnia się jak para w niezmierny przestwór. Wolność jest dla nich ciężarem”.

Komunizm to dla niego wciąż jeszcze „Nowa Wiara” przez duże „N” i przez duże „W”. Formalnie zerwał z nim, ale psychologicznie jeszcze należy do tamtego klimatu.

Może zresztą nie tylko ideologiczny przeżywa kryzys. Są jeszcze inne, bardziej przyziemne powody tęsknoty za dotychczasowym życiem: „Błędem jest — pisze Miłosz — niedocenianie tej siły atrakcyjnej, jaką stanowi i n t e g r a c j a pisarza w «demokracjach ludowych»: ma on tam «miejsce na ziemi», jest osobistością społecznie cenioną. Zerwać z krajem oznaczało więc dla mnie nie tylko dopuszczać myśl, że przestanę być twórczy jako poeta, ale zgodzić się na utracenie poczucia u ż y t e c z n o ś c i”.

W Polsce był razem z innymi nadwornymi poetami „osobistością społecznie cenioną”. Społecznie? Chyba nie będzie nam wmawiał, że społeczeństwo ceni prostytutowanych pisarzy, różnych Tuwimów, Minkiewiczów, Iwaszkiewiczów, wiernie piszących pod dyktando komunistyczne. Może mieć tylko na myśli siłę atrakcyjną jaką ma dla niektórych pisarzy luksusowe życie zapewnione najmitom pióra przez reżym. Ale niech nie próbuje nas przekonywać, że zrywając z krajem stracił „poczucie użyteczności”, niech nie prowokuje mówienia, że tu na emigracji pisarz jest nieużyteczny!

Sprawa Miłosza — to właśnie zagadnienie tego niezwyklego stosunku do rzeczywistości komunistycznej. Pod tym względem różni się on od olbrzymiej większości zbiegów, a zarazem także od zachodnich b. komunistów.

Oni bowiem nawrócili się całkowicie i zerwali z komunizmem bez reszty. Czy w świetle tego, co pisze Miłosz, można o nim to powiedzieć!

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 1951 nr 191, s. 2–3.

[Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI] Lector

## CZASOPISMA OBCE

### *MURTI-BING*

Pod tym tytułem ukazał się w lipcowym zeszycie „Twentieth Century” rozdział z książki Czesława Miłosza o „intelektualistach w krajach demokracji ludowej”. Miłosz zapożyczył to słowo z *Nienasycenia* St. Ign. Witkiewicza, gdzie oznaczało ono nazwę pastylek używanych przez armię mongolską do zaszczepienia ludziom radosnej, prostej i wszystko wyjaśniającej „filozofii życia”. Chodzi tu oczywiście o analogię do pastylek „nowej wiary” dialektycznej, wytwarzanych masowo na rozkaz armii sowieckiej przez marxistowskich pigularzy w aptekach Europy Środkowo-Wschodniej.

Wielką tęsknotą odsuniętego intelektualisty — pisze Miłosz — jest należenie do mas. Tęsknota to tak potężna, że próbując ją zaspokoić, wielu z nich szukało niegdyś natchnienia w Niemczech i Włoszech, aby teraz nawrócić się z kolei na Nową Wiarę.

Prawicowy program totalistyczny okazał się bowiem niesłychanie ubogi: był w stanie zaofiarować intelektualistom jedynie irracjonalną emocję współdrżania z histerią tłumów. Inaczej Murti-Bing: oto pojawił się nareszcie jednorodny system oparty na naukowych podstawach, jednorodny język idei. Materializm dialektyczny zjednoczył wszystkich a filozofia stała się raz jeszcze mistrzynią życia.

Intelektualista poczuł się znowu użyteczny. Ten, który zajmował się niegdyś myśleniem i pisaniem w chwilach wolnych od płatnego zajęcia w banku czy na poczcie, znalazł teraz należne mu miejsce na ziemi. Gdy tymczasem przemysłowcy, arystokraci i handlarze, którzy uważali go dawniej za nieszkodliwego pomyłeńca, zostali teraz wydziedziczeni. Są szczęśliwi jeśli uda im się znaleźć zajęcie szatniarza i podawać płaszcz dawnemu pracownikowi, o którym mówili przed wojną: zdaje się że on pisze. Nie wolno jednak upraszczać zbyt przyjemności wynikających z zaspokojenia ambicji osobistej; są one po prostu zewnętrznym i dostrzegalnym dowodem konieczności społecznej, symbolami uznania które wzmacniają w intelektualiście poczucie „przynależności”.

Potem zaczynają się pasma udręk intelektualisty w krajach „nowej wiary”. „Przeklina i załamuje ręce nad cenzurą i żądaniami komisji wydawniczych, a jednocześnie odnosi się z głęboką nieufnością do zalet nieskrępowanej literatury”. Ma coraz więcej wątpliwości. Pół biedy jeszcze, kiedy każą mu krytykować kapitalizm — nie jest to ostatecznie takie trudne. Ale co zrobić, kiedy Centrum (ten eufemizm oznacza w terminologii Miłosza Moskwę) zażąda przejścia od realizmu krytycznego do socjalistycznego, kiedy zamiast krytyki kapitalizmu zażąda od pisarzy pochwały komunizmu? Jest coraz ciężiej i ciężiej. W końcu nadchodzi kryzys i intelektualista uodporniony pastylkami Murti-bingu, które połyka teraz w zdwojonych i potrojonych dawkach, przewycięża go szczęśliwie gdyż „innej drogi nie ma”.

W artykułach Miłosza dość trudno jest ustalić co pochodzi w nich z autopsji a co z obserwacji innych ludzi. W pierwszym wypadku wszystko co Miłosz pisze na temat intelektualistów zza żelaznej kurtyny jest przykre ale dość interesujące — ostatecznie mamy możliwość oglądać po raz pierwszy w jego osobie królika doświadczalnego, który uciekł z laboratorium „nowej wiary” i wymiotuje bez przerwy, zatruwszy się pigułkami Murti-bingu; w drugim wypadku natomiast, jego wywody wydają się grubo przesadzone, przeteoretyzowane.

Przyjmijmy na chwilę, że chodzi w nich w nich tylko o samego Miłosza. Jeśli potraktować na serio zarówno *Murti-Bing* w „Twentieth Century” jak ogłoszony w ostatnim numerze „Kultury” paryskiej *Ketman*, okaże się jedynie że intelektualiści typu Miłosza mają bardzo słabe głowy i potrafią się byle czym bałamucić. Upłynęło przeszło sto lat od ogłoszenia „Manifestu komunistycznego”, i dla najbardziej nawet gorliwych jego wyznawców stało się jasne, że „naukowe podstawy” marxizmu dadzą się w najlepszym razie sprowadzić do wielu cennych wskazówek z zakresu nowej metody badań socjologicznych. Czemu więc Miłosz wpada w taką kaznodziejską przesadę na samo ich wspomnienie? Bo jest jako marxista trochę spóźniony w rozwoju. Gdyby się swojego marxizmu nauczył we właściwym czasie — t.zn. w wieku lat 18 — miałby go dziś za sobą jak dziecięcą odrę. Czterdziestka jest jednak niebezpiecznym wiekiem dla mężczyzn i intelektualistów. Mężczyzna, który nie zasmakował pierwszej miłości fizycznej zaraz po maturze i dożył lat męskich w celibacie, skłonny będzie odtąd zawsze uważać każdą kobietę za „tajemniczego sfinksa”; intelektualista, który nie przeszedł przez kryzys religijny i okres komunizowania jako młodzieńki student, nie otrząśnie się już nigdy z ciągłego odkrywania w każdym trzymającym się choć trochę kupy poglądzie na świat „nowej wiary”. Zmysł krytyczny jest nagrodą dojrzałości okupionej doświadczeniami, złudzeniami i rozczarowaniami młodości; wieczny zalotyzm jest ceną, jaką się płaci za spóźniony infantylizm, za przewlekły proces ząbkowania intelektualnego.

Miłosz ma rację, twierdząc że intelektualiści pragną „należeć do mas”. Poza kilkoma nielicznymi wyjątkami, cóż jednak ta tęsknota w istocie rzeczy oznacza? Zakłamaną wiarę w nowy mit. Zakłamaną — gdyż intelektualiści wdychający we śnie do zbiorowych dreszczów „życia wśród mas”, nie próbują nawet, ba! — nie mają najmniejszej ochoty zbliżyć się do nich na jawie. Hołdując w duchu najbardziej arystokratycznym upodobaniom, zwracają sobie i innym głowę proletariackimi snobizmami. Z autobiografii Spendera można się bez trudu dowiedzieć, czego komunizujący intelektualiści oczekiwali od mas: sankcji społecznej dla swojej sztuki. Nie było rzeczą przypadku, że najwięcej nadziei w przewrocie społecznym pokładali nowatorzy artystyczni, rozgoryczeni tępotą i obojętnością burżuazyjnych odbiorców. Czyżby jednak byli naprawdę aż tak naiwni by przypuszczać, że jak za czasów Giotta masy poniosą na swych ramionach martwe natury Picassa lub zarecytują chóralnie poematy Oskara Miłosza i Eliota? W najlepszym razie rewolucja komunistyczna mogła im w okresie swego NEPu sypnąć w oczy piaskiem fałszywej kokieterii; uczyniła to, jak widać na przykładzie Czesława Miłosza. Czy mogła natomiast dopuścić, by za pieniądze wyciskane z tychże mas uprawiali oni nadal swoją sztukę dla wtajemniczonych? Komunizujący malarze wmawiali sobie, że zwycięski proletariat wyzwoli ich nareszcie od upokarzającego przymusu malowania dla zarobku konwencjonalnych portretów bogatych bankierów i nie poskąpi pieniędzy na to, by mogli swobodnie malować wszystko co zechcą; obudzili się dopiero wówczas, kiedy okazało się że zamiast konwencjonalnych portretów bankierów, muszą malować jeszcze bardziej konwencjonalne portrety „racjonalizatorów pracy”. Obudzili się by sobie nareszcie uprzytomnić, że w naszych czasach artysta potrafi zdobyć prawdziwą niezależność tylko w wypadku, gdy potrafi się uwolnić od wszelkich płatnych serwitutów, zaciągniętych lekkomyślnie wobec anonimowych mas i państwa. I co jest w tej całej historii dziwne, to nie fakt, że zażywanie pigułek Murti-bingu wywołuje po pewnym czasie mdłości i rozwolnienie, ale fakt że — jeśli wierzyć Miłoszu — ci sami malarze, którzy malowali niegdyś z obrzydzeniem bankierów i żony sanacyjnych dygnitarzy, malują dziś z zapalem stachanowców i bohaterów rewolucji bolszewickiej, a ci sami pisarze, którzy rozczulali się niegdyś na widok ubogich szatniarzy z ludu, przyjmują dziś z nieukrywaniem zadowoleniem płaszcze z rąk zubożałych hrabiów i przemysłow-

ców; że — krótko mówiąc — ci sami intelektualiści, którzy atakowali niegdyś z taką szlachetną pasją wszelkie skrępowania literatury, odnoszą się dziś z tak „głębką nieufnością do zalet nieskrępowanej literatury”.

Na szczęście, można już teraz z dużą dozą prawdopodobieństwa powiedzieć, że lwią część wywodów Miłosza pochodzi z autopsji. W tym samym bowiem numerze „Kultury” w którym ukazał się jego *Ketman*, mieliśmy sposobność przeczytania przepięknego, wspaniale napisanego i mądrego artykułu Romana Palestra *Problem Marsja-sza*. Nie jest jeszcze najwidoczniej tak źle z „intelektualistami w krajach demokracji ludowej”, jeśli oto inny z nich — wybitny kompozytor, który po znacznie dłuższym od Miłosza pobycie w Kraju postanowił również pozostać na Zachodzi — potrafi w sposób tak ujmująco skromny, pełen pokory i uczciwości artystycznej, bez wygibasów dialektycznych, nazwać rzeczy po imieniu: niewolę niewolą, wolność wolnością, a niezależność — najwyższym skarbem jakiego może pragnąć artysta godny tego imienia. [...].

„Wiadomości” 1951 nr 34(282), s. 4.

Sergiusz PIASECKI

## BYŁY POPUTCZIK MIŁOSZ

Przeczytałem w „Kulturze” (nr 45/46) artykuł Juliusza Mieroszewskiego *Sprawa Miłosza*. Autor twierdzi, że Miłosz nie jest nawet oportunistą i że „tego rodzaju postawa [nieufności do „nawróconego” Miłosza] jest obelgą dla narodu polskiego”. Jeśli uwzględnimy inne podobne głosy, okaże się że postać tego dyplomaty Bierutowego zaczyna się powoli wywindowywać na piedestał bohatera narodowego.

*Sprawa Miłosza* świadczy że wielu ludziom brak wyobraźni w ocenianiu rzeczywistości „na dystans”, jak to często obserwujemy u ludzi Zachodu. Będą czule reagowali na krzywdę psa lub kota w zasięgu ich wzroku, lecz nie potrafią wczuć się w tragedię Polaka-patrioty, od wielu lat pozbawionego ojczyzny. Miłosz rozczuła mnie do łez swym straszliwym losem aktualnego „samobójcy”, który wybrał gorzki chleb emigracyjny, by tylko nie iść na kompromis ze swym sumieniem poety. I znika gdzieś w tumanie słów i frazesów istotna postać poputczyka, który przez wiele lat reprezentował za granicą narzucony Polsce rząd bolszewicki jako prawowitą władzę, opartą na demokracji ludowej i prowadzącą Polskę w krainę socjalizmu. Jeśli „nawrócony” Miłosz ośmiela się pisać w czasopiśmie emigracyjnym (*Nie* w nr. 43 „Kultury”): „...cieszyłem się iż pół-feudalna struktura Polski została złamana...”, łatwo domyśleć się w jakim świetle i w jakich barwach jako dyplomata Bieruta ukazywał obcym swoją ojczyznę.

Warto w tym miejscu przytoczyć z książki znakomitego publicyisty Stanisława Mackiewicza (Cata) *Lata nadziei* (Londyn [1946]; str. 145) opinię jego o całej grupie wileńskiej:

[...] Było mi smutno i wstyd, że bolszewizm w Wilnie szerzyła grupa utalentowanych młodych ludzi najautentyczniej wileńskiego pochodzenia, których same nazwiska przypominały stronicę *Pana Tadeusza* lub *Pamiętnika Kwestarza*. Bujnicki nazywał się Nieściszko Bujnicki i był prawnikiem starego miłego grafomana, który tak rzewnie opisywał północną Białoruś. Putrament... figuruje w sienkiewiczowskim *Latarniku*, jako symbol starej, tęsknej litewskości, „Putrament z Pikturną” czytamy w *Panu Tadeuszu*. Miłosz... I oto ci ludzie, którzy powinni byli najlepiej rozumieć miłość kraju, pierwsi sprowadzili na niego infekcję wroga, zdradzali go, sprzedawali, sprzedawali także siebie bez godności, o ileż gorzej niż zwykła kurwa. Jakaż silna jest ta infekcja i jakże wielką mieliśmy rację, gdybyśmy z nią walczyli. Dzisiaj podobno niejeden z tych poetów chadza w cylinderku, zajmując dygnitarskie stanowisko, sprzedawszy kraj własny, sprzedaje państwo całe. Może kiedyś poczuje do samego siebie pogardę, gdy znajdzie się po jakiejś czystce na Kołymie, lub w republice Komi.

Ale Miłosz ani na Kołymie, ani w republice Komi się nie znalazł. Uniknął losu wielu poputczyków i setek tysięcy uczciwych Polaków. Był dostatecznie rozsądny, by w porę zostać na Zachodzie. Co więcej, znalazłszy się wśród nas, zachował się bezczelnie, topiąc prawdę w powodzi kłamstw. Sięgnął nawet po uznanie dla swoich zasług. Powinniśmy wymierzyć mu je w pełni.

\*\*\*

Gdy Miłosz porzucił stanowisko dyplomaty régime’owego, z miejsca rozpętał olbrzymią reklamę (technika bolszewicka) dokoła swego wyczynu i swjej wielkości jako poety. „Głos Ameryki” i „Kultura” wołają, że to wielki poeta, a sam Miłosz nie szczędzi sobie pochwał wszelkiego typu. Wyliczył kogo przekładał, lecz skromnie opuścił pozycje najciekawsze, np. *Przekłady z poezji Chin Ludowych* („Twórczość”

z września 1950). Na str. 83, zbiór tych ludowych perełek rozpoczyna wiersz Mao Tse-tunga *Śnieg*. Imponujące! Ale ja nie mogę wpaść w zachwyt, skoro jako poeta Miłosz jest starą kobyłą, bo łupi swe wiersze od dwudziestu lat, możliwości rozwoju miał rozległe a nie napisał jeszcze nic takiego, co by dorównywało np. wierszom Łobodowskiego.

Gdyby Miłosz po zerwaniu z régimem wypowiedział się jasno, szczerze, skromnie, gdyby umiał splunąć na tamtą rzeczywistość tak jak inni, którzy ją zgłębili, jak setki intelektualistów różnych narodowości, którzy poznali komunizm w praktyce, gdyby bez pozy i blagi poświęcił swój talent i wiedzę oraz doświadczenie zwalczania zła, któremu służył i które też szerzył, moglibyśmy uznać że trzeba milczeć i zapomnieć o jego przeszłości.

Miłosz istotę bolszewickiego „komunizmu” rozumiał i rozumie doskonale. Widać to chociażby z artykułu *Ketman* w nr 45/46 „Kultury”. Mimo to Miłosz napisał swoje *Nie*, które właściwie, jest pochwałą obecnej potwornej rzeczywistości w Polsce. Miłosz pochwała reformę rolną i uniwersytety zapełnione przez młodzież robotniczą. A oto co pisze na ten sam temat w nr 45/46 „Kultury” Roman Palester, w artykule *Konflikt Marjasza*:

Jakże cieszyć się z wielkiej ilości młodzieży chłopskiej i robotniczej na uniwersytetach, jeśli celem tych uniwersytetów jest uformowanie umysłów całkowicie bezkrytycznych i posługujących się wyłącznie obiegowymi sloganami obowiązującej teorii? A wyrażanie radości z przeprowadzenia reformy rolnej jest chyba nie zdawaniem sobie sprawy z tragicznego losu, jaki ta „reforma” gotuje milionom ludzi.

Program jest maksymalny i niszczy zarówno samego człowieka jak i te wszystkie wartości, które dotychczas nadawały życiu ludzkiemu pewien obiektywny sens.

Miłosz pisze: „Pisarze w krajach Zachodu nie mogą mieć pojęcia o opiece jaką zapewniają ich kolegom państwa rządzone według zasad leninizmu-stalinizmu”. Twierdzi, że zarobki ich w porównaniu z zarobkami robotnika czy urzędnika są „niebotyczne”. Miłosz ma rację, tylko nie dodaje, kto i za jakie zasługi ma te „niebotyczne zarobki”. Aby je mieć, trzeba wyrzec się godności człowieka i Polaka.

Miłosz twierdzi: „Wielcy pisarze przeszłości rzadko byli za ich życia honorowani. Zdychali z głodu, wyganiano ich z republik, wyśmiewano, uważano za wariatów i maniaków”. Miłosz rzucił to twierdzenie właśnie „propagandowo” — dla uzasadnienia dalszych wywodów, dla efektu. Tak jakby pisał ulotkę dla mieszkańców państwa totalnego, nie troszcząc się o prawdę i przechodząc do porządku nad faktami historycznymi. Nie ma tu miejsca na obszerniejsze rozważanie tej kwestii. Ale wystarczy jeśli podam tylko jeden przykład na dowód, jak twierdzenie Miłosza jest fałszywe. Gorki za caratu miał w Rosji sławę i dobrobyt, mimo że był pisarzem dla ustroju wrogim i szkodliwym. A jak z punktu widzenia ustroju szkodliwym, można zorientować się z tego, że potrafił rozpętać za granicą (w Europie i Ameryce) akcję przeciwko udzieleniu przez Francję pożyczki Rosji, przekonywając wszędzie opinię publiczną, że te pieniądze są potrzebne régimowi carskiemu do tępienia ruchów postępowych i umocnienia tyranii. Mimo to mógł wrócić do Rosji i dalej tam żyć za tegoż cara i dalej go zwalczać. Dopiero Stalin się z nim rozprawił. W Rosji, od najdawniejszych czasów, istniało wielu innych pisarzy krytycznych, postępowych, albo wręcz rewolucyjnych, i nie spotkał ich tak potworny los, jak obecnie spotkałby każdego pisarza-opozycjonistę, gdyby się pojawił.

Interesujące jest zdanie Miłosza o Rosjanach: „Kontakt z obywatelami tego kraju jest trudny, wspomnienie jakie zostawiła armia wyzwalająca, nadmiernie skłonna do grabieży, złodziejstw i gwałtów — niemiłe”. Tylko „niemiłe”?!... A armia — natural-



nie, „wyzwalająca”. Grabież zaś, złodziejstwa i gwałty (wyzwoliciele) tylko dlatego są Miłoszowi niemiłe, że nadmierne. Co innego, jeśliby robili to umiarkowanie, według planu leninowsko-stalinowskiego. Gdyby dziś, na przykład, zgwałcili Putramenta, jutro Jędrychowskiego, potem Broniewskiego, później Gałczyńskiego, następnie Miłosza, może by to nawet było miłe... A jeśli bolszewicki pułk rabuje pociąg repatriantów polskich jadących na zachód, to jest to nadmierne, czy umiarkowane, czy normalne? Czy armię, która dokonywa gwałtów i grabieży, można nazwać „wyzwalającą”?

Ktoś mógłby przypuszczać, że niektóre wypowiedzi Miłosza są zwykłymi lapsusami, ale zdarzają się między nimi takie, które rozwiewają wszystkie wątpliwości, ukazując całą potworność psyche tego bierutowca.

Czy szczęście ludzi — pisze Miłosz — których horyzont myślowy jest ograniczony do kopania swych ogródków, picia wina w kafejce i uprawiania hobbies nie jest szczęściem idiotów? Nie do takiego szczęścia dąży ludzkość poprzez śmierć i terror. Czy idiota będzie sadzić róże w swoim ogródku, czy rąbać las w karnych brygadach jest właściwie wszystko jedno.

Czyż nie jest to filozofia zimnych gadów, takich jak Dzierżyński? Dla nich cichy kąt skromnego człowieka i jego spokój są nienawistne. Im jest właściwie „wszystko jedno”, czy zwykły człowiek stworzy sobie cichą przystań życiową, czy gnije w łagrze. Ale o swoją osobę taki dialektyk jest bardzo troskliwy. Tak troskliwy, że nawet swe lądowanie wśród nas nazwał „samobójstwem”.

Spostrzegłem, że urokowi tego „samobójcy” uległo wiele ludzi, którzy naiwnie wytłumaczyli sobie jego zmianę frontu albo jako rezultat kryzysu w zapatrywaniach politycznych, albo jako bunt poety, który nie mógł pójść na kompromis z sumieniem. Zygmunt Zaremba np. ironicznie nazywa („Kultura”, nr 45/46) krytykujących Miłosza „emigracyjnymi Katonami” o „z góry powziętej niechęci, opartej na jedynej przesłance, że Miłosz służył reżimowi warszawskiemu. To kryterium — pisze p. Zaremba — dla oceny ludzi z kraju w żadnym wypadku wystarczać nie może, wobec zaś Miłosza w szczególności się nie nadaje”.

Lecz Miłosz nie jest człowiekiem „z kraju”. Miłosz jest człowiekiem, który ze swojej zagranicznej placówki narzucony Polsce régime przedstawiał jako prawowitą władzę. Pan Zaremba pisze o grupie podobnych Miłoszowi typów:

Ludzie ci po prostu bałamucili się lewicowo, dziedzicząc po Żeromskim czy Strugu sympatię dla świata pracy bez zadania sobie najmniejszego trudu zgłębienia jego życia i walk.

Trzeba na to powiedzieć, że w gruncie rzeczy ludzie ci tylko innych bałamucili swoją lewicowością, sami światem pracy pogardzali i przy najbliższej sposobności wzięli czynny udział w zaprzędaniu tego świata pracy obcemu najeźdźcy.

W związku z tym opowiem krótko, jak wyglądało „bałamucenie się lewicowo” na terenie Wilna niektórych przedstawicieli tej grupy w okresie okupacji. Henryk Dembiński przed wojną był prezesem katolickiego „Odrodzenia”, stał się lewicowcem i przywódcą ruchu „wolnościowego” młodzieży uniwersyteckiej w Wilnie. Żadnego pionu nie miał. Komunizował lub reakcjonizował — zależnie od okoliczności. Gdy przyszli do Wilna bolszewicy, stał się pospolitym denuncjantem. Nawet wskazał bolszewikom tajne skrytki w archiwum miejskim, w których ukryto najcenniejsze dokumenty historyczne. Stefan Jędrychowski (drugi as grupy) od r. 1941 przebywał w Moskwie i tam tworzył „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego”, z którym się zjawił w lipcu 1944 w Chełmie. Przedtem też denuncjował i został skazany przez sąd tajny Armii Krajowej na śmierć. Teodor Bujnicki w piśmie bolszewickim „Prawda Wileń-

ska” zamieścił wiersz *Nasz kandydat*, na cześć nie znanego nam kandydata do Wierchownego Sowietu, którego Wilnianie musieli „wybrać”, aby otrzymać pieczętki w paszportach — że głosowali. W wierszu było takie zdanie: „Już się kończy łajdacko-kupiecko-szlachecka”! Tak się cieszy polski poeta i „lewicowiec” z końca naszej niepodległości. Za swą denuncjatorską działalność został również skazany na śmierć i wyrok wykonano. Ludzie ci byli oczami i uszami okupanta. Oni dopomagali wrogowi planować akcje przeciw nam. Oni wskazywali gdzie są „reakcjonisci”. Oni się zjawiali wraz z czołgami armii sowieckiej i znikali wraz z nimi, lub konspirowali się wśród nas (aby przetrwać), nawet wciskali się do organizacji podziemnych. Są dowody, że nawet wówczas potrafili denuncjować do Gestapo tych patriotów polskich, którzy byli przeciwnikami Sowietów. Ich to zdrady, rady i pomoc umożliwiły potem bolszewikom stworzenie fikcji rządu polskiego z „woli narodu”. Bez nich byłaby to tylko okupacja wojskowa obcego państwa. Nie była to „bałamucąca się lewicowo” grupka młodzieży, lecz banda podstępnych i bezwzględnych zdrajców. Wówczas wpisałem do zeszytu wierszy młodego poety z konspiracji, uczciwego patrioty:

Adamie, Adamie! Co się dzieje z poetami twego ukochanego Wilna? Nawet cwani enkawudziści nie umieją już odróżnić wierszoklety od bliadi i drogo płacą za stosunki z nimi. Biedne zaś kurwy płaczą zrozpaczone, widząc tak straszne pohańbienie swego fachu.

Ludzie ci jak szakale czyhali, kiedy Polska opadnie z sił, i radowali się polskimi klęskami. A ponowna okupacja Polski przez wojska bolszewickie była dla nich radosnym dniem — ziszczala ich marzenia o władzy i karierach. I wiele dotkliwych dla Polski posunięć bolszewickich zawdzięczamy ich wpływowi.

\*\*\*

Przypadkiem trafiłem na jedną z drobnych usług poety Miłosza, i nic w tym poetycznym znaleźć nie umiem. W „Dzienniku Polskim” z 28 maja 1947 zamieszczono korespondencję z Waszyngtonu, pióra Vigila. Jest w niej taki fragment:

Polonia Amerykańska sprowadziła dwie grupy sierot polskich z Indii oraz poważną grupę bezdomnych dzieci polskich z obozu Santa Rosa w Meksyku. Wszystkie te dzieci przeszły piekło zsyłki sowieckiej i ogromna większość z nich postradała rodziców na obszarach Peczory, poprzez Kołymę do Kazachstanu.

Obecnie dzieci są w szkołach, pod znakomitą opieką, wiele z nich adoptowały rodziny amerykańskie, a kongresman Jan Lesiński, który jako przewodniczący kongresowej komisji imigracji i naturalizacji w poprzedniej kadencji Izby najwięcej napracował się nad sprowadzeniem dzieci — otoczony jest wdzięcznością zarówno ze strony małoletnich imigrantów jak i ich opiekunów.

Inaczej rzecz się ma z p. Józefem Giebułtowiczem, pierwszym sekretarzem zespołu waszyngtońskiego i p. Czesławem Miłoszem, który jak Ehrenburg w „Prawdzie”, w krakowskim „Przekroju” cierpliwie naucza Amerykanów demokracji.

Pewnego dnia obaj młodzi ludzie wmaszerowali do jednego z gabinetów Departamentu Stanu z interwencyjnymi wyrazami twarzy. Chodzi o te dzieci. Mają wrócić do Polski, szczególnie te z Indii, ale i te z Meksyku również. Rząd tego się domaga, bo rząd jest jedynym opiekunem obywateli polskich za granicą. Dzieci w y w i e z i o n o do St[anów] Zjednoczonych i oddano w obce ręce bez porozumienia się z rządem. Podobno nawet w Polsce znaleźli się rodzice, którzy domagają się zwrotu swych dzieci. Nazwiska? – to później. Teraz chodzi o zasadę.

Odpowiedź była grzeczna i prosta. St[any] Zjednoczone załatwiły sprawę imigracji dzieci polskich zgodnie z przepisami prawa i w zgodzie z prawnymi opiekunami dzieci, którymi byli — w Indiach na przykład — ludzie mianowani przez sąd okręgowy

w Bombaju. Obecnie amerykańskie instytucje opieki społecznej są całkowicie zadowolone ze sposobu umieszczenia dzieci, ich kształcenia itd. To — wszystko.

Dyplomaci interwencji zdenerwowali się najwidoczniej, skoro p. Giebułtowicz zaryzykował okrzyk i wyraził przekonanie, że dzieci zostały porwane. Wyrażenie amerykańskie, którego użył brzmi: *kidnapped* i posiada wydźwięk dla Amerykanina tak wyraźny, że rozmówca amerykański odpowiedział coś w rodzaju: „...przykro mi, że pan posiadał języka nasz w ten sposób, iż używa niewłaściwych wyrażen...” poczem rozmowę urwał.

Dyplomacja — jak widać — też na poziomie.

Ale wyobraźmy sobie, że miły poeta Miłosz natchniony wymową poetycką przekonałby Amerykanów, że dzieci polskie należą do Polski, a ponieważ straciły rodziców, ich nowy papa Bierut smuci się po nich i lzy wylewa i mocno do serca przycisnąć pragnie. Radkiewicz niepokoi się czy dziateczek nie zdeprawowano, a ojculek wszystkich dzieci w demokracjach ludowych, Stalin, też ich losem jest srodze zmartwiony. No i oddaliby je Amerykanie. I wyrosłaby z nich, na przykład, kupa utalentowanych poetów klasy Miłosza i jegoż wysokiego poczucia patriotycznego!

Jaka szkoda, że rząd bierutowski nie posłał poety Miłosza na Sybir, aby ściągnąć dzieci polskie, które pojechały tam na wycieczkę krajoznawczą w latach 1939–1944. Wiele z nich też zostało sierotami. Ale może, wychowani w „Nowej Wierze”, baliby się jechać do Polski... W liście z Polski czytałem: „Janeczek wieczorami boi się spać i prosi dobrze zamknąć drzwi. Twierdzi, że za drzwiami czai się reakcjonista”.

Na bardzo umiarkowane, w stosunku do politycznego conta Miłosza, zarzuty prasy emigracyjnej, Miłosz zamieścił w nr 45/46 „Kultury” *Odpowiedź*. Jest równie fałszywa, jak pierwsze oświadczenie, chociaż napisana ostrożniej i z mniejszym tupetem.

Miłosz twierdzi, że Polacy „zachodni” nie rozumieją lub „lekceważą” „głębokie przemiany świadomości”, jakie zachodzą w Polsce. Rozumiem i nie lekceważę przemian, lecz nie uznaję przemiany świadomości. Można być zamkniętym w pojedynczej celi przez dziesięć lat, można nie wiedzieć nic o świecie za murami, można dojść do kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej, lecz dopóki się nie zatraciło zdolności myślenia, albo nie wpadło w obłąd, świadomość będzie nienaruszona. Te „przemiany świadomości”, które zachodzą w Polsce, są przystosowaniem się do okoliczności i grą aktorską. Pisał o tym sam Miłosz w *Ketmanie*. Być może że młodzież, zdana całkowicie na wychowanie w duchu bolszewickim, obniży swój „moral”, lecz trudno będzie nawet tę młodzież przekonać, że tylko „Nowa Wiara” da jej szczęście.

Miłosz pisze: „To, że wszyscy Polacy «zachodni» są anty-stalinistami nie oznacza, że wszyscy mają te same racje do potępiania stalinizmu... Moim zdaniem słabo usprawiedliwiona jest niechęć do prób udzielania odpowiedzi na pytanie *d l a c z e g o* stalinizm jest zły. «Myśmy to dawno wiedzieli» nie rozwiązuje niczego”.

Otóż nie tylko nie ma „niechęci” do udzielania odpowiedzi, dlaczego stalinizm jest zły, lecz istnieje entuzjazm w udzielaniu takich odpowiedzi. Napisano o tym tysiące książek. A samo pytanie jest nudne i bezsensowne — tak jakby ktoś pytał: dlaczego kura pije a siusiu nie robi? Stalinizm jest zły dla miliona powodów, chociażby dlatego np. że Miłosz nie mógłby pisać swego *Nie* w zasięgu „stalinizmu”.

Argument Miłosza, że ilość zwolenników stalinizmu na świecie powiększa się „w ostatnich latach o ładną garstkę milionów”, nawet gdyby był słuszny, też by niczego nie dowodził, tak jak zwiększanie się alkoholizmu nie stanowi dowodu, że wódka jest pożyteczna, albo lepsza od wody czy mleka.

Miłosz próbuje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego przez tyle lat służył régime’owi warszawskiemu i dlaczego tak późno przejrzał. Ale odpowiedź ta jest „dialektyczna”.

Wygląda to tak jakby ktoś spytał: która jest teraz godzina? — na co otrzymałby odpowiedź: na wiosnę przylatują bociany. Miłosz odpowiedziałby szczerze tylko enkawudziom w ich demokratycznym M.G.B.; my takich metod nie mamy.

Miłosz pisze że służył Krajowi, chociaż służył Bierutowi. Pisze, że służył, bo „wszyscy służą”. Ale jak służą? Jeśli robotnik czy urzędnik nawet wstępuje do P.P.R.u, aby wyżyć, jeśli nawet w pochodach nosi portret Stalina — którego jeśliby mógł udusił własnymi rękami — to jest to nieszczęście, w które miłosze go wtrącili. Za Niemców wielu ludzi też służyło, ale orientowaliśmy się doskonale w charakterze ich służby. Jest różnica między służbą, wysługiwaniem się, współpracą. A już zupełnie czym innym jest przynależność do aparatu rządowego, administracyjnego, albo policyjnego. Wiele słów się pomieszało, wiele straciło znaczenie, wiele się wypacza. Ale czy możemy sobie wyobrazić Polaka, który by w razie zwycięstwa Hitlera i stworzenia przez niego przemocą w Polsce ustroju nazistowskiego, reprezentował ten ustrój za granicą, jako *attaché* kulturalny, i twierdził poważnie, że służy Polsce? Jakbyśmy nazwali takiego typa?

Gdy się czyta *Odpowiedź* Miłosza, ma się wrażenie, że tak się załgał, że wszystko mu się pomieszało, albo uważa, że o niczym nie mamy pojęcia. Główny konik, na którym jedzie Miłosz, to poetycki pegaz: „Istnieją sfery działania w których można uprawiać kompromisy i sfery działania w których na żaden kompromis iść nie wolno. Dla poety tą sferą działania jest jego poezja”. W więzieniu słyszałem opowiadanie o pewnym starowierze, który zabił Węgra, sprzedającego po wsiach towary galanteryjne. W sądzie spytano, co zrabował zabitemu. Odpowiedział, że nic przy nim nie znalazł. Sędzia zaznaczył, że przy trupie znalaziono kawałki mięsa. Czy je jadł? Tu starowier się oburzył: „Jak możecie mnie posądzać, że jadłem mięso, kiedy wiecie dobrze, że to było w piątek!”. Miłosz także ogromnie rozszerza sfery działania, w których można iść na „kompromisy”. Nie ma dla niego Polaka, obywatela, człowieka, reży-mowca, dyplomaty, zdrajcy. Jest tylko niepokalany duch poetycki. Niestety, duch ten wyzwala się jedynie w piątce. I gdyby nie nieszczęście, że tydzień ma 7 dni, nic by nie można mu było zarzucić.

Miłosz pokpiwa z tych którzy „do ostatniej chwili porządkowali swoje bibeloty, złudzenia, dywaniki, antyki — a potem już tylko krew i płomień i zgorzelisko”. Drżymy wobec zapowiedzianej przez Miłosza zagłady. Może ona przyjść, choć może i nie przyjść. Ale tak czy inaczej lepiej jest „schronić się w lamus pełen słowników, herbarzy, senników i kalendarzy, między pamiątki minionego czasu” — którymi tak Miłosz pogardza — niżli włączyć do katowni tego lub owego Iwana Groźnego i czytać ukazy, przykazy i dekrety. W tych „lamusach” matki-Polki, zdejmując dziecku z szyi sowiecką wiesz, składają mu rączki do modlitwy za Kraj i za kogoś, kto ginie na Sybirze, jęcząc w lochu Bezpieki czy spala się tęsknotą za rodziną na obczyźnie. Z tych „lamusów” wykwiwały takie duchy, jak Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Chopin. Z dialektyki zaś i filozofii miłoszów powstają krwawe upiory, jak Dzierżyński czy Radkiewicz.

Uważam, że Miłosz nadal jest niebezpieczny dla sprawy polskiej i sprawy wolnego świata, walczącego z bolszewizmem. Może bardziej niebezpieczny teraz niżli na poprzednim stanowisku dyplomaty reżimu warszawskiego. Jeśli wówczas szerzył informacje o tym, że Polska ma obecnie ustrój demokratyczny i dąży ku socjalizmowi, dawniej zaś była zacofana, półfeudalna — mogło być uważane za propagandę urzędową. Jeśli teraz będzie szerzyć takie pojęcie o Polsce — będzie to brzmiało jak prawda. Mało kto przecież rozumie, że Miłosz nie mógł w to uwierzyć poprzednio i że nie wierzy w to teraz. Lecz pycha nie da mu nigdy uznać szczerze, że służył dla różnych powodów... może i ze strachu też — takiego jak ma francuski piesek przed dużym,

śmierdzącym brytanem. Aby przedstawić siebie w pięknym świetle, Miłosz będzie wybielał to czemu służył. Na wyznanie szczerze trzeba odwagi. Miłosz woli kluczyć.

Słyszałem, że Tuwim jest jeszcze gorszy niżli Miłosz, bo występuje z historycznymi wierszami na cześć Stalina, armii czerwonej, obecnej Rosji. Trudno się z tym zgodzić. Robota Tuwima jest prostacka. Taki „słowik” Stalina jest zrozumiałym dla każdego błaznem, nad którym można się jedynie litować. I im głośniej i przesadniej będzie czał i rzygał na cześć Stalina, tym więcej ośmiesza i siebie i Stalina. Mimo wszystko jednak w galerii naszych poetów Tuwim będzie miał wielki portret, u którego stóp przytuli się maleńki portrecik Miłosza. Ale w galerii poputczików Miłosz będzie miał wielki portret. Tuwim zaś spocznie u jego stóp, nie dorastając mu do pięt.

„Wiadomości” 1951 nr 44(292), s. 3.

### **MIŁOSZ ‘51 ONCE AGAIN. THE STUDY ABOUT A PROFIT FROM READING SOURCES**

In 1951 Czesław Miłosz decided to ask the French Government for political asylum and stay in exile. The Literary Institute in Paris gave aid and provided him with care. Polish political emigrants remembered however that Miłosz was a diplomat of the Polish communist government in the USA and France. In the scientific discussion, there was expressed a belief that the Polish emigration in Great Britain reacted with dislike and hostility to the information about Miłosz’s emigration. Yet, an in-depth analysis of press texts from the year 1951 allows to notice that the poet’s emigration was well received and it was the action of the Literary Institute „in the poet’s defence” that caused critical comments about the poet. The text names all voices of London emigration publicists in 1951, analysing the chronology of incident.

**KEY WORDS:** Cz. Miłosz; Polish emigration in Great Britain; emigration press; the Literary Institute in Paris.

(m.sz.)